

O. ADOLFO NICOLÁS SJ
PRZEŁOŻONY GENERALNY TOWARZYSTWA
JEZUSOWEGO

W NUMERZE:

XXXV KONGREGACJA GENERALNA
- ZBIGNIEW JAŁBRZYKOWSKI SJ
- PRZEMYSŁAW GĘBĄŁA SJ

PASJE JEZUITÓW:
PIOTR LENARTOWICZ SJ
TO CO ROBIĘ

ROBERT JANUSZ SJ
... NOWYMI JĘZYKAMI MÓWIĆ BĘDĄ...

LESZEK WILCZAK SJ
ZACZEŁO SIĘ OD ŁAŃCUCHA

JEZUICI

Nasze Wiadomości



Jezuici
w Polsce

Marzec
33 (1) 2008

Spis treści

Kongregacja

- 2 KG w Towarzystwie Jezusowym
- 5 XXXV Kongregacja Generalna

Pasje

- 10 ...nowymi językami mówić będą...
- 13 Emoconalnie jestem z tym Nigeryjczykiem
- 16 To co robię
- 18 Zaczęło się od łańcucha

Felieton

- 22 Zamykam oczy...
- 24 O języku filozofii, nie do końca poważnie

Wydarzenia

- 26 EJIF
- 28 Piękno brzmienia

Apostolat

- 30 Zaczyn pojednania
- 34 Apostolat dzieci
- 36 Być dobrym jak chleb
- 38 Wolontariat

Duchowość

- 40 Twarzą w twarz

Relacja

- 42 W Danii

Misja

- 44 Kompetentni, otwarci, odpowiedzialni
- 46 Magis - oznacza coraz więcej

Sylwetka

- 52 Ks. Kard. Adam Kozłowiecki

Perła sztuki

- 52 Jezuicka perła Śląska

Pasja

- 56 Pisanki - więcej niż arcydzieło



XXXV Kongregacja 2 Generalna



sch. Leszek Wilczak SJ Zaczęło się od 18 łańcucha



sch. Bartłomiej Przepeluk SJ Jezuicka perła 52 Śląska

Redaguje zespół: Mateusz Konopiński SJ, Marek Rosłoń SJ, Przemysław Gębala SJ, Paweł Beń SJ.

Zdjęcia: jeśli nie podpisano inaczej Marek Rosłoń SJ. Kurator numeru: o. Stanisław Groń SJ. Nakład: 5000 egz.

EDYTORIAL



Numer, który Państwo otrzymują ukazuje się w czasie, który dla całego Towarzystwa jest bez wątpienia szczególny. Szóstego marca zakończyła się trzydziesta piąta Kongregacja Generalna, podczas której – dziewiętnastego stycznia – został wybrany nowy przełożony generalny Towarzystwa Jezusowego o. Adolfo Nicolás. Przedstawiamy sylwetkę ojca Nicolás’a oraz przypominamy niezwykle zasłużoną dla całego zakonu osobę jego poprzednika ojca Petera Hansa Kolvenbacha. Zapraszamy też do przeczytania dwóch artykułów poświęconych kongregacjom Towarzystwa, które

nie tylko wyjaśniają podniosłość tego czasu, ale pozwalają też lepiej poznać „nasz sposób postępowania”.

Najwięcej miejsca poświęcamy jednak naszym pasjom. Pamiętam, kiedy poznawałem jezuitów zawsze wydawali mi się ludźmi oryginalnymi. Po kilku latach w Towarzystwie widzę, jak wielu moich współbraci to ludzie z pasją. Zapraszamy więc na wędrowkę po naszym osobistym świecie pełnym zwyczajnych a czasem zupełnie niecodziennych zainteresowań. To może stąd się brał ten pociągający jezuicki rys: z jednej strony zapracowani i oddani Bożej sprawie, z drugiej tak ludzcy, spontaniczni i naturalni.

W numerze prezentujemy również bardzo ważne dla nas dziś dzieła apostołskie: ruch młodzieżowy „Magis”, o którym pisze sch. Jacek Olczyk, i Silesianum Professional - prezentacja autorstwa o. Krystiana Sowy SJ. Nie zabraknie też tematów związanych z duchowością – tym razem o doświadczeniu bliskości i spotkania pisze sch. Paweł Beń, oraz z filozofią – o meandrach filozoficznego języka, nie do końca poważnie pisze sch. Marek Rosłoń.

Wierzę, że w wielości działów i treści każdy znajdzie dla siebie coś interesującego.

Życzę miłej lektury!

Mateusz Konopiński SJ

FORMUŁA KONGREGACJI GENERALNEJ BYŁA NIEZNACZNIE ZMIENIANA W CIĄGU WIEKÓW. PODCZAS PRZESZŁO 450 LAT ISTNIENIA ZAKONU ZWOŁANO 34 KONGREGACJE GENERALNE, A OBECNA JEST 35.

Kongregacja Generalna w Towarzystwie Jezusowym

sch. Zbigniew Jałbrzykowski SJ

Piątego stycznia tego roku rozpoczęła się 35. Kongregacja Generalna Towarzystwa Jezusowego. Jest to wydarzenie szczególnie ważne dla wszystkich jezuitów. Z pewnością Towarzystwo nie może pozostawać bierne wobec znaków czasu i rezygnować z refleksji nad nowymi wyzwaniami. Kongregacja jest wydarzeniem, po którym możemy spodziewać się ukazania kształtu jezuickiej misji w nowym świetle i wyznaczenia jej nowych kierunków. Dla nas niech będzie też sposobnością do przyjęcia się samej formie rządów w zakonie.

Zakon Jezuitów nierzadko jest kojarzony z organizacją wojskową, w której od podwładnych, nie mających żadnego wpływu na decyzje, wymaga się tylko bezmyślnego posłuszeństwa. Taka uproszczona wizja władzy ignoruje zupełnie proces, w którym decyzja – podejmowana ostatecznie przez przełożonego – uzyskuje swój kształt. Sam proces jest nawet ważniejszy niż ostateczna treść decyzji, gdyż to on gwarantuje, że decyzja będzie dobra, a więc — jak ufamy — zgodna z wolą Boga. Fundamentem całej struktury władzy w Towarzystwie, o wiele od niej samej pierwotniejszym, jest jeden z filarów jezuickiej duchowości, czyli rozeznawanie duchowe. Oznacza ono głęboki namysł, podejmowany w atmosferze wiary i modlitwy, indywidualnie i we wspólnocie. Dlatego Kongregacja Generalna nie jest obcym ciałem w strukturze indywidualnych rządów, lecz naturalnym miejscem

tego wspólnotowego rozeznawania. Jest niejako sercem tego, co nazywamy jezuickim sposobem postępowania.

Ignacy nie zgromadził swych pierwszych towarzyszy rozkazem, arbitralnie narzucając im wizję nowego zakonu, przeciwnie – najpierw była grupa przyjaciół pociągniętych tym samym Duchem. Towarzystwo powstało w swym kształcie, także instytucjonalnym, jako owoc ich wspólnej modlitwy i decyzji. W wyniku tego aktu założycielskiego, określanego jako „deliberacje Pierwszych Ojców”, powstała reguła wcześniejsza od Konstytucji – tzw. Formuła Instytutu, której papieskie zatwierdzenie w 1540 r. dało zakonowi formalny początek.

Podstawą działania Kongregacji Generalnej są Konstytucje w znakomitej większości ułożone przez samego Ignacego. Odnosi się do niej aż sześć z siedmiu rozdziałów ósmej części, zatytułowanej: Środki przyczyniające się do jedności z głową i między sobą tych, którzy zostali rozesłani. Wydaje się więc, że w zamierzeniu Ignacego zasadniczym celem Kongregacji jest wzrost jedności między jezuitami. Natomiast Normy Uzupełniające do Konstytucji stwierdzają, że to Kongregacja Generalna (a nie General!) ma pełnię władzy ustawodawczej w Towarzystwie. Gdybyśmy zatem chcieli stosować porównania ustrojowo-polityczne, można Kongregację nazwać krótkim i rzadkim „festiwalem” demokracji w tym

na co dzień „autorytarnym” zakonie. Istotnie, jest to czas, gdy delegaci z całego świata zbierają się w jednym miejscu, by przedyskutować i rozstrzygnąć w imieniu całego Towarzystwa sprawę dla niego najważniejszą. Konstytucje wyjaśniają również powody, dla których Kongregację należy zwołać, kto, gdzie i w jaki sposób to czyni, kto bierze w niej udział, a także sam przebieg. Postanowienia Konstytucji w tych sprawach były w ciągu wielu wieków uściślane i modyfikowane przez różne regulacje. Najważ-

z historycznego doświadczenia dziesięciu poprzednich XX-wiecznych Kongregacji, przypuszczam, że tak. Najkrótsza z nich — dwudziesta piąta (1906 r.) trwała 48 dni, najdłuższa — trzydziesta pierwsza (1965 r.) aż 141 dni, ostanía (1995 r.) 76 dni. W całej historii Kongregacji Generalnych w ogóle nie było krótszej niż 36-dniowa 6. Kongregacja w 1608 r.

Kongregacja wymaga wielu przygotowań zarówno na szczeblu poszczególnych prowincji, jak i w samym Rzymie. Między



fot. D. Doliński

niejszym dokumentem obok Konstytucji jest Formuła Kongregacji Generalnej (dokładnie regulująca sposób przygotowania i przeprowadzenia Kongregacji), a także przyjęte przez Kongregację 34. (1995 r.) Normy Uzupełniające. Kongregację zwołuje więc z reguły Generał. Gdzie? O miejscu decyduje on sam. Jednak, gdy przedmiotem Kongregacji jest wybór Generała, wówczas zbiera się ona tam, gdzie siedzibę ma kuria papieska i gdzie zarazem powinna się mieścić kuria generalna. Tym miejscem zwykle jest Rzym – tak też jest w przypadku obecnej Kongregacji. Kongregacja sama określa czas swego trwania i dlatego pisząc te słowa nie mogę mieć pewności, że gdy ukażą się drukiem, będzie to ciągłe „obecna Kongregacja”. Jednak wnosząc

zwołaniem a dniem jej rozpoczęcia musi upłynąć przynajmniej pół roku. W przypadku obecnej Kongregacji czas ten wyniósł ponad rok. Prowincje w tym czasie musiały dokonać przede wszystkim wyboru swych delegatów. Ich liczba jest określona dla każdej prowincji, ale zawsze jest to przynajmniej Prowincjał. Na trzydziestą piątą Kongregację jest 219 delegatów (dla porównania, w pierwszej uczestniczyło 20). Rola przygotowawcza Kongregacji Prowincjalnych polega także na opracowaniu postulatów uznanych za konieczne do przedyskutowania podczas Kongregacji Generalnej. Postulaty takie mogą też przesyłać do kurii generalnej indywidualnie jezuici, aż do dnia rozpoczęcia Kongregacji. W samej zaś kurii praca polega przede



fot. D. Doliński

wszystkim na opracowaniu ogromnej liczby tych postulatów, tak by mogły stać się przedmiotem obrad. Należy też zgromadzić i przygotować informacje na temat ogólnego stanu Towarzystwa. W tym celu Generał powołuje komisje przygotowawcze utworzone według kryterium tematycznego; każda z nich opracowuje przydzielony sobie zespół zagadnień. Tematyka prac tych komisji jest interesującym probierzem najbardziej aktualnych dla Towarzystwa i jego misji kwestii. Przed 35. Kongregacją jeszcze w 2006 r. powołanych zostało pięć komisji: do spraw posłuszeństwa, do spraw sprawiedliwości społecznej, do spraw życia wspólnotowego oraz prawna. Każda z nich już na rok przed rozpoczęciem Kongregacji przedstawiła Generałowi raport ze swych prac. Podobnym refleksjom służy analiza nadsyłanych postulatów. Na początku 2007 r. najwięcej postulatów dotyczyło trzech spraw: promocji sprawiedliwości społecznej — temat aktualny już od wielu lat, ekologicznego wymiaru naszej misji — w kontekście poprzedniego tematu, oraz sposobu rządzenia zakonem — szczególnie w aspekcie struktury rządów. Poza tymi

komisjami Generał powołuje jeszcze jeden zespół jezuitów, który ma czuwać nad ogółem przygotowań w Rzymie, tzw. *coetus praeivus* (z łac. zgromadzenie poprzedzające). Jego zadaniem jest przejrzanie wszystkich nadesłanych postulatów i zdecydowanie, które z nich zostaną przedstawione Kongregacji, które pozostawione do decyzji Generała, a które wreszcie zupełnie odrzucone (np. w przypadku obecnej Kongregacji odrzucono wszystkie postulaty dotyczące długości sprawowania urzędu Generała oraz modyfikacji czwartego ślubu jezuitów profesów — w związku ze sprzeciwem Stolicy Apostolskiej wobec jakichkolwiek zmian w tych kwestiach). Poza tym *coetus praeivus* nadaje ostateczną formę raportom wspomnianych komisji.

Przyczyny zwołania Kongregacji mogą być dwie: wybór Generała lub potrzeba omówienia ważnych spraw dotyczących całego Towarzystwa. 35. Kongregacja ma szczególnie charakter, bo zebrała się dla obu tych celów jednocześnie a wybór następcy o. Hansa-Petera Kolvenbacha wydaje się nie mniej ważnym jej zadaniem niż pozostałe tematy. Zwróćmy uwagę na cechy charakterystyczne samego wyboru. Elektorzy gromadzą się w odosobnieniu, by najpierw w ciągu trzech dni przemyśleć kandydatury i przygotować się do podjęcia decyzji. Nie wolno mylić tego okresu bezpośredniego przygotowania do wyboru z kampanią wyborczą... Surowo zakazana jest jakakolwiek agitacja. Dopiero w czwartym dniu, po odprawieniu Mszy Świętej do Ducha Świętego, delegaci są zamykani w sali, gdzie po indywidualnej godzinnej modlitwie, przeprowadza się głosowanie. Wybór ma więc być owocem nie ludzkich zabiegów, lecz pochodzić z Bożego natchnienia. Po oficjalnym ogłoszeniu wyników wyboru nie wolno już zgłaszać żadnych zarzutów. Zresztą jak dotychczas, wybory Generałów bywały dość jednomyślne skoro aż 15 spośród 28 dokonało się w pierwszym głosowaniu, a nigdy nie przekroczono liczby czterech głosowań. Konstytucje przewidują nawet możliwość dokonania wyboru poza formalnym głosowaniem, niejako przez akklamację.

DELEGACI OBU POLSKICH PROWINCJI KOMENTUJĄ
WYDARZENIE XXXV KONGREGACJI GENERALNEJ

XXXV Kongregacja Generalna

sch. Przemysław Gębala SJ



Foto: D. Doll SJ

Po dwudziestu czterech latach rządzenia Towarzystwem Jezusowym Ojciec tPeter-Hans Kolvenbach SJ złożył rezygnację ze sprawowanego urzędu. XXXV Kongregacja Generalna zwołana w celu wyboru nowego Przełożonego Generalnego rozpoczęła się 7 stycznia w Rzymie. Oprócz wyboru nowego generała 226 elektorów reprezentujących cały organizm Towarzystwa podejmie kwestie uznane w toku przygotowań do Kongregacji za szczególnie ważne dla charызmatu i działalności apostołskiej zakonu. Poprosiliśmy delegatów obu polskich prowincji o komentarz do tych wydarzeń.

Wybór Przełożonego Generalnego

O. Andrzej Koprowski SJ

Towarzystwo Jezusowe jest zakonem apostołskim. Jako takie ma z jednej strony charakterystyczną duchowość opartą na

fundamencie osobistej, a nie ideologicznej więzi z Panem Jezusem, z drugiej zaś jest ciałem apostołskim w sposób szczególnie związanym z Ojcem Świętym. Zgodnie z Konstytucjami Towarzystwa Jezusowego generał jezuitów sprawuje urząd dożywotnio. Jednak wobec charakterystycznego dla naszych czasów wydłużenia się wieku życia ludzi (ale i osłabienia sił, zmęczenia psychicznego itp.) oraz intensywnych przemian w świecie i Kościele Kongregacja Generalna stworzyła możliwość złożenia rezygnacji przez urzędującego generała i wyboru nowego. Apostołskość Towarzystwa, z której bezpośrednio wynika jego żywotność i rozwój, domaga się skutecznego i bardzo sprawnego rządzenia.

Zgodnie z tradycją Towarzystwa, wybory są poprzedzone refleksją nad sytuacją wiary w świecie, misją Kościoła, nad stanem

Towarzystwa oraz nad cechami, jakie powinien mieć nowy Przełożony Generalny, by w sposób optymalny służyć Panu Jezusowi i Jego Kościołowi poprzez kierowanie Towarzystwem.

Trzeba mieć świadomość, iż nowy generał „przejmie” Towarzystwo bardzo odmienne od tego sprzed 25 lat. Wobec tego, że Towarzystwo się starzeje i słabnie liczebnie (przede wszystkim w Europie i USA), trzeba na nowo postawić fundamentalne pytania: Jak w takiej sytuacji Towarzystwo w Europie czy Stanach Zjednoczonych ma rozwijać swoją misję?

W jakich sektorach? Przy pomocy jakich struktur apostolskich? Jak podtrzymać dynamikę duchową i intelektualną? Jak rozwinąć duszpasterstwo powołań? Z drugiej strony Towarzystwo pręźnie rozwija się w Ameryce Łacińskiej, przy czym potrzebuje ono „nowego ducha”, umiejętnego osadzenia w sposób bardziej integralny w całej misji zakonu. Brak tej integracji powoduje, że w tym rejonie świata kuleje i „misja w dynamice wiary”, i „misja społeczna”.

Bardzo żywo rozwija się Towarzystwo w Afryce i w Azji. Trzeba jednak robić wszystko w kierunku zapewnienia młodym jezuitom z tych regionów świata solidnej formacji w wymiarze indywidualnego doświadczenia wiary oraz uniwersalizmu Towarzystwa. Kryzys kulturowy w „świecie atlantyckim” (Europa, Ameryka Północna) sprawia, że Kościoły lokalne innych kontynentów w pewnym sensie zamykają się w bogactwie swoich kultur, dystansując się wobec powszechności Kościoła. Nie chodzi o to, aby gdziekolwiek narzucać wzorce kulturowe charakterystyczne dla tradycji europejskiej, ale by nie zgubić wymiaru uniwersalnego misji zbawczej Kościoła, a w nim Towarzystwa.

Współpraca jezuitów ze świeckimi

O. Leszek Mądryk SJ

Już na początku warto zaznaczyć, że trudno podejmować dzisiaj pogłębioną refleksję nad życiem zakonnym bez dostrzeżenia powołania ludzi świeckich. Dlatego pod-

czas ostatnich Kongregacji Generalnych Towarzystwa Jezusowego, kiedy jezuita zastanawiali się nad „swoimi sprawami”, czyli swoim życiem i apostołstwem według naszego charyzmatu, pojawiała się coraz wyraźniej refleksja nad powołaniem osób świeckich oraz nad naszą współpracą z nimi. I prawdopodobnie z dwóch powodów Towarzystwo traktuje poważnie powołanie chrześcijan świeckich. Po pierwsze: od Soboru Watykańskiego II cały Kościół na nowo to odkrywa i jezuita są głęboko zaangażowani w formację świeckich, np. poprzez współpracę z różnymi ruchami i stowarzyszeniami. Drugą racją jest nasza intensywna współpraca ze świeckimi, jaka ma miejsce zarówno w dziełach prowadzonych przez Towarzystwo (np. w edukacji, w domach rekolekcyjnych), jak i w innych dziedzinach apostołatu. Wymowną ilustracją tego zagadnienia jest 13 dekret XXXIV Kongregacji Generalnej zatytułowany: Współpraca ze świeckimi w pełnieniu misji. To w tym dekrecie znajdujemy takie stwierdzenie: Towarzystwo Jezusowe uznaje za łaskę naszych czasów i nadzieję na przyszłość fakt, że świeccy w tym wspaniałym i dramatycznym momencie dziejowym, u progu trzeciego tysiąclecia, włączają się (...) żywo, świadomie i odpowiedzialnie w misję Kościoła. Treści zamieszczone w tym dekrecie dały Towarzystwu nowy impuls do właściwego rozumienia tej współpracy, ale wymaga ona dalszej refleksji, także podczas trwającej Kongregacji. Wiele spraw pozostaje nadal do rozeznania i jaśniejszego określenia.

Z różnych prowincji napłynęło wiele postulatów na ten temat: siedemnaście na temat samej współpracy i trzynastka na temat tzw. osób stowarzyszonych, czyli takich, które chcą zobowiązać się do większej jedności z Towarzystwem poprzez korzystanie z duchowości ignacjańskiej oraz do stałej współpracy z jezuitami, tworząc coś na kształt trzeciego zakonu. Spotyka się już takie sytuacje w niektórych prowincjach, ale tych doświadczeń jest nadal mało i wiele pytań pozostaje otwartych, np. czy

przełożeni Towarzystwa będą mogli powierzać takim osobom, podobnie jak zakonnikom, konkretne misje i na jakich zasadach będzie to funkcjonowało?

W nadesłanych postulatach zauważa się, że podczas najbliższej Kongregacji w ramach współpracy ze świeckimi pojawią się zapewne tematy dotyczące takich ruchów jak Wspólnota Życia Chrześcijańskiego i Apostolstwo Modlitwy, a obok tego duszpasterstwa młodzieży, praca z uchodźcami (JRS), a nawet współpraca z niekatolikami czy niechrześcijanami, która dotyczy szczególnie Towarzystwa w Azji. Być może zostanie przygotowany nowy dekret opisujący aktualne spojrzenie na naszą współpracę ze świeckimi.

Tożsamość jezuity

O. Tadeusz Hajduk SJ

Przy okazji Kongregacji zadajemy sobie ponownie pytanie, kim właściwie jesteśmy, czym się różnimy nie tylko od osób świeckich, lecz także od innych zakonników i kapłanów. Tożsamość jezuity kształtowana jest przez Ćwiczenia duchowne i Konstytucje zakonne otrzymane od św. Ignacego. Jezuita jest całkowicie skierowany na naśladowanie Jezusa Chrystusa w Jego ubóstwie, pokorze i służbie dla chwały Boga i dla zbawienia dusz.

Doskonałość zakonna jezuity wyraża się w jego umiłowaniu Boga realizowanym w czynnej służbie, w apostołstwie podejmowanym w wszelkich formach i nastawionym na szukanie takich form, by chwała Boża była przez to większa lub powszechniejsza.

Modlitwa ma umożliwić jezuitom takie otwarcie się na prowadzenie Ducha Świętego, by kierując się miłością roztropną, nie był związany narzuconymi regułami postępowania, lecz gotowy na podjęcie każdej misji także tam, gdzie inni jeszcze nie są w stanie pójść, do różnych miejsc „granicznych” ewangelizacji współczesnego świata.

Większa chwała Boża domaga się od jezuitów, aby szedł tropem Chrystusa spod Sztandaru Krzyża. Dlatego Ignacy pisze

w Konstytucjach, że idący śladami Chrystusa mają upodobnić się do Pana i być gotowi cierpieć dla Niego obelgi, potwarze i krzywdy.

Rządy w Towarzystwie Jezusowym

O. Leszek Gęsiak SJ

Kongregacja Generalna 35, poza głównym celem, dla którego została zwołana, czyli wyborem nowego Przełożonego Generalnego, podejmie także szereg innych zagadnień, ważnych dla Towarzystwa Jezusowego na świecie. Jednym z nich wydaje się być problem usprawnienia rządów Zakonu w aspekcie współpracy międzynarodowej.

Towarzystwo Jezusowe jest podzielone na prowincje, którymi administrują mianowani przez Ojca Generała prowincjałowie. Prowincje posiadają dużą autonomię, a prowincjałowie w jej ramach mogą skutecznie i szybko podejmować decyzje zarówno personalne jak i administracyjne w odniesieniu do poszczególnych wspólnot i działających pod ich jurysdykcją dzieł.

Między Generałem i prowincjałami istnieją także struktury pomocnicze. Są to Asystencje i Konferencje Prowincjałów. Jezuitom winni być zakonnikami mobilnymi, trudno zatem wyobrazić sobie dzisiaj wypełnianie powierzonej im misji bez skoordynowanego przemieszczania się i szerokiej współpracy międzyprovincialnej. Konferencje Prowincjałów, których jest w tej chwili sześć, mają tę współpracę usprawnić. Co raz więcej dzieł jest bowiem tworzonych i obsługiwanych równocześnie przez jezuitów z różnych krajów i prowincji. Każda Konferencja Prowincjałów posiada własny statut i sposób funkcjonowania, a uprawnienia ich przewodniczących są bardzo różne i przy zachowaniu autonomii każdej prowincji często nie ułatwiają sprawnej współpracy. Stad też m.in. skierowane do Kongregacji Generalnej postulaty, by podjęła ona to zagadnienie, dając konkretne wytyczne, w jaki sposób międzynarodową współpracę jezuitów uczynić skuteczniejszą i owocniejszą dla apostołatu na większą chwałę Bożą.

Generałowie



foto: D. Dell'Is

WYBRANY NA XXXV KONGREGACJI
GENERALNEJ W 2008R.

"Mam nadzieję, że będę mógł iść z zasadami Gandhiego, który mawiał: kiedy się o czymś mówi, przede wszystkim trzeba mówić prawdę, bo jeśli nie jest to prawdziwe to nie jest interesujące."

o. Adolfo Nicolás SJ

Adolfo Nicolás, ur. w 1936 r. w Hiszpanii. Uczył się w szkołach jezuickich. Do Towarzystwa wstąpił w 1953r. W latach 1958-60 studiował filozofię w Madrycie. W 1960r., jeszcze jako scholastyk, udał się na misje do Japonii. Teologię studiował w latach 1964-68 w Tokio, gdzie w 1967 r. otrzymał święcenia kapłańskie.

W latach 1968-71 kontynuował studia teologiczne na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, gdzie uzyskał doktorat. Od 1971 r. był profesorem teologii dogmatycznej na Sophia University w Tokio.

W latach 1978-84 kierował Instytutem Pastoralnym w Manili na Filipinach. Od 1991 do 1993 był Rektorem Kolegium w Tokio, a następnie przez 6 lat Prowincjałem Prowincji Japońskiej, po czym przez 3 lata pracował wśród emigrantów w ubogiej tokijskiej parafii.

Od 2004 był przewodniczącym Jezuickiej Konferencji Azji Wschodniej i Oceanii, a także przełożonym kilku azjatyckich misji.

19 stycznia 2008 został wybrany przez 35. Kongregację Generalną 30 Przełożonym Generalnym TJ.

Towarzystwa

WYBRANY NA XXXIII KONGREGACJI
GENERALNEJ W 1983R. JAKO NASTĘPCA
o. PEDRO ARUPPE SJ

“Jestem wdzięczny za przywilej, że mogłem spotkać i towarzyszyć tak wielu przyjaciółom w Panu, którzy w najprzeróżniejszych powołaniach, zawsze jawili się autentycznymi sługami misji Chrystusa.”



foto: D. Doll SJ

o. Peter Hans Kolvenbach SJ

Peter Hans Kolvenbach, ur. w 1928 r. w Holandii, wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w 1948 r. Świecenia kapłańskie przyjął w 1961. Studiował filozofię w Holandii, teologię w Bejrucie oraz język armeński w Bejrucie i Paryżu.

Od 1962 wykładał językoznawstwo i język armeński na Uniwersytecie w Bejrucie. Od 1974 był Prowincjałem Wiceprowincji Bliskiego Wschodu. W 1981 r. został Rektorem Papieskiego Instytutu Orientalnego w Rzymie oraz

członkiem papieskiej komisji do spraw dialogu z prawosławnymi. Podczas 34. Kongregacji Generalnej, 13 IX 1983 został wybrany generałem zakonu. Kierował nim po trudnym okresie interwencji papieskiej.

Po przeszło 24 latach rządów, za zgodą Benedykta XVI i po otrzymaniu poparcia ze strony Asystentów *ad Providentiam* i prowincjałów całego Towarzystwa, zrzekł się urzędu Przełożonego Generalnego podczas 35. Kongregacji Generalnej 7 stycznia 2008 r.

„NOWE JĘZYKI” W OBSERWATORIUM WATYKAŃSKIM

...nowymi językami mówić będą...

o. Robert Janusz SJ

Na zakończenie rekolekcji według Ćwiczeń Duchowych św. Ignacego Loyoli osoba otwiera się na Boga w Kontemplacji pomocnej do uzyskania miłości. W tym ważnym ćwiczeniu duchowym jest źródło tego, co później, po rekolekcjach, w codziennym życiu jezuitów nazywają „szukaniem Boga we wszystkich rzeczach i wszystkich rzeczy w Bogu”. Św. Ignacy chce nas doprowadzić do tego, co przeżył sam, do otwierania naszego umysłu na wszelkie sprawy wiary i wiedzy pochodzące od Stwórcy. W Opowieści pielgrzyma święty wspomina swoje największe duchowe doświadczenie, które działo się nad potokiem Cardonerem; otrzymane tam od Boga oświecenie otworzyło św. Ignacemu oczy umysłu na Boga, Stwórcę wszystkiego. Przeżywana w rekolekcjach kontemplacja Boga, który w Swej Miłości stwarza nas i zbawia od zła, otwiera również nas „na to, jak Bóg mieszka w stworzeniach [...] w ludziach [...] we mnie także”. Towarzyszące Kontemplacji pocieszenie - z choćby częściowego odnalezienia Boga tam, gdzie On, jakże często niedostrzegalny, przecież jest - staje się udziałem również tych jezuitów, którzy badają stworzony świat, zwłaszcza w tej najszerzej, astronomicznej skali. Jedną z instytucji, gdzie jezuitów dostępują tego niezasłużonego przywileju szukania i znajdowania Boga w Kosmosie, jest Watykańskie Obserwatorium Astronomiczne.

Obserwatorium Watykańskie jest prowadzone przez jezuitów od wielu dziesięcioleci. Chociaż już na początku działalności Collegium Romanum duchowi synowie św. Ignacego posługiwali naukowo

Kościółowi (np. niemiecki matematyk Ojciec Clavius SJ bronił nowego kalendarza papieża Grzegorza XIII i wraz z innymi współbraćmi potwierdzał odkrycia Galileusza), to jednak Obserwatorium nie od razu prowadzili jezuitów. Przy swoich uniwersytetach Towarzystwo posiadało już wcześniej różne obserwatoria, tymczasem oficjalna fundacja Obserwatorium Watykańskiego miała miejsce dopiero za Leona XIII w roku 1891 (Ut Mysticam), a dyrektorem został barnabita, F. Denza. W okresie silnych ataków na Kościół, poprzez nową fundację papież chciał potwierdzić otwartość katolików na rzetelne badania naukowe. Dopiero w początkach XX wieku nowy dyrektor, Austriak, ojciec J.G. Hagen SJ, rozwinął szerzej badania naukowe. Można powiedzieć, że od tej nominacji rozpoczęła się ciągła obecność Towarzystwa w naukowej służbie w Obserwatorium Watykańskim.

W roku 1935 Pius XI uroczystie zainaugurował nową siedzibę Obserwatorium w Castel Gandolfo. Był to znaczący krok naprzód, także dzięki nowej aparaturze badawczej. W Pałacu Papieskim zainstalowano nowoczesne teleskopy i do dziś ma tam także siedzibę dyrektor Obserwatorium, którym obecnie jest Argentyńczyk, ojciec J. Funés SJ. W roku 1993 zainaugurowano pracę Watykańskiego Teleskopu Nowej Generacji (VATT) zbudowanego na górze Mt. Graham w Arizonie (USA). Z uwagi na bardzo dobre warunki obserwacyjne, o wiele lepsze niż w Europie, teleskop ten - wciąż rozbudowywany - dostarcza bogatych danych o różnych obiektach astronomicznych. Fundacją na rzecz Obser-

rwatorium Watykańskiego kieruje nadal były dyrektor, ojciec G.V. Coyne S.J. Warto wspomnieć, że to właśnie do niego papież Jan Paweł II wystosował znany list o spójności wiary i wiedzy naukowej.

Opowiemy teraz, jak wygląda praca na nowoczesnym teleskopie Watykańskim. Dzisiejsze teleskopy są urządzeniami bardzo precyzyjnymi mechanicznie i sterowanymi całkowicie cyfrowo. „Prawdziwy astronom” wciąż jeszcze kojarzy się nam albo z nocnym obserwatorem, którego

sprawiają, że o naukowym wykorzystaniu klasycznego „szkiełka i oka” nikt już dziś nie myśli. Podczas jednej wyprawy obserwacyjnej, która trwa ok. 10 dni, można zebrać ponad tysiąc cyfrowych matryc z danymi naukowymi zarejestrowanymi przez teleskop. Składanie tych matryc w obrazy i następująca po tym matematyczna analiza nazywają się „redukcją danych”. Tę żmudną pracę wykonują dziś komputery wspomagane przez człowieka.

Aby dokonać redukcji danych konieczne



Jeden z teleskopów na tarasie Pałacu Papieskiego w Castel Gandolfo

oko wpatruje się przez lunetę w niebo, albo z uczonym, który za dnia przez mikroskop analizuje naświetloną w nocy płytę fotograficzną. Dzisiejsze obserwacje astronomiczne wyglądają jednak całkiem inaczej. Aby nie zaburzać pracy teleskopu, przeprowadza się je w osobnym pomieszczeniu, gdzie na monitorach komputerów pojawiają się obrazy syntezowane przez schłodzoną ciekłym azotem kamerę CCD umieszczoną w „oku” teleskopu. Głębia obrazu i precyzyjna charakterystyka urządzeń współczesnej astronomii

jest posługiwanie się nie tylko komputerowym sprzętem, ale także odpowiednio przygotowanym oprogramowaniem. Dziś, gdy komputery „zbiły pod strzechy”, każdy ich użytkownik jakoś zdaje sobie sprawę z tego, co to jest program i jak się go używa. Zwykle jednak korzysta się z jednego albo kilku „stałych” programów czy to do pisania tekstów czy do przeglądania Internetu itp. W nauce sytuacja wygląda zupełnie inaczej. O ile można mówić o „programowym jądrze” systemu informatycznego, to praktycznie każdy naukowy

eksperyment wymaga dziś swoistego, przygotowanego wyłącznie dla niego oprogramowania. Innymi słowy, w nauce programy tworzy się ad hoc. Każda „redukcja danych” oznacza w zasadzie napisanie nowego rodzaju oprogramowania, do czego służą specjalnie opracowane zmatematyzowane „języki”.

Dzięki takim „językom” programowania można nie tylko „zaprogramować” komputer, czyli „wymusić” na nim, by działał w ściśle ukierunkowanym celu, lecz także sprawić, by zagadnienie, którym się zajmujemy, stało się bardziej „jasne” także w komunikacji między uczonymi. Programowanie, czyli „mówienie” takimi nowymi „językami” nie jest procesem łatwym, gdyż czasem nie do końca znane są szczegółowo metody prowadzące do znalezienia drogi rozwiązania złożonego problemu. Rozważmy pewien przykład. Nierzadko nawet w „znanym”, dużym mieście możemy pobrać, a gdy od czasu naszej ostatniej wizyty miasto uległo przebudowie, zabłądzimy w nim prawie na pewno. Podobnie ma się rzecz z nauką, która wciąż się rozwija, dlatego wciąż szukamy w nauce porządku tak w zdobywaniu danych, jak i w procedurach ich analizy. Pomaga nam w tym informatyka. Również w Obserwatorium Watykańskim wykorzystuje się nowe „języki” informatyczne. Przy ich pomocy możliwe jest „odcyfrowanie” i obliczenie informacji zakodowanej przez teleskop podczas nocnych obserwacji nieba.

Posiadając „zredukowane dane” można przejść do kolejnego etapu naukowych dociekań. Jeśli dane „pasują” do znanych modeli teoretycznych, możliwe staje się dokładniejsze zrozumienie świata i lepsze opisanie nowych zakątków Kosmosu. Jeśli jednak dane „odstają” od znanych teorii naukowych, trzeba poszukiwać nowych, ogólniejszych teorii, w ramach których to, co „znane” stanie się przypadkiem szczególnym, włączonym w to, co „ogólniejsze”. W ten sposób poszukiwania naukowe nie tylko zbliżają nas do prawdy, oczyszczając

nas z naiwnych sądów, ale wskazują także, jak wiele jest jeszcze do zbadania i jak wciąż jesteśmy „naiwni”. Każdy krok naszej wiedzy do przodu uzmysławia nam jeszcze bardziej stopień naszej niewiedzy, zmusza do nieustannego pytania o sens, o Boga i o nas samych.

Stwórca jest pokorny i ukrywa się w stworzeniu, co stymuluje ludzkie przeżycia duchowe związane z naukowymi doświadczeniami. Nie każdy jednak uczony, jako człowiek, ma czystą intencję i jest wewnętrznie wolny. Jednego uczonego eksperyment doprowadzi do pokory, innego do łęku, pychy czy chęci zdobycia władzy. Zależy to od tego, jakie uczony ma serce. Jakże często uczeni i ich społeczne otoczenie zamykają „dla siebie” odkrycia lub manipulują prawdą na rzecz doraźnych korzyści, np. prawdą o życiu w biotechnologii. Dlatego nie wszystkie tzw. „sukcesy nauki” służą człowiekowi; wszystkie jednak odsłaniają prawdę o sercu człowieka-uczonego. Bywa i tak, że jest to serce upadłe, potrzebujące nawrócenia. Niekiedy nauka „przemawia” językiem chrześcijańskiej miłości, ale nierzadko egoizmem i technokracją; czasem nauka służy człowiekowi, ale często zamyka się w swoich funkcjonalnych i lokalnych problemach, skazanych wcześniej czy później na fiasko przebrzmiałych, fatalnych „naukowych sukcesów”.

Jakby pod prąd dzisiejszego zideologizowania nauki św. Ignacy zachęca nas, byśmy szukali Boga we wszystkich rzeczach. Przecież Stwórca działa w swoich stworzeniach; także tych, których rozmiary są astronomiczne. Ten Boży porządek świata możemy poznawać i możemy według niego żyć w chrześcijańskiej miłości. Zachęca do tego także motto, będące jakby echem Kontemplacji pomocnej do uzyskania miłości, a umieszczone na jednym z watykańskich teleskopów: Deum Creatorem Venite Adoremus (przyjdźcie byśmy adorowali Boga Stwórcę).

DO WSZYSTKIEGO TRZEBA PODCHODZIĆ TWÓRCZO I AUTORSKO, WE WSZYSTKIM, CO SIĘ ROBI WYRAŻAMY SIEBIE I NIE SPOSÓB OD TEGO UCIEC

Emocjonalnie jesteś z tym Nigeryjczykiem...

O fotografii z Markiem Roślinem SJ rozmawia Mateusz Konopiński SJ

Zanim o fotografii, powiedz coś szerszej o swoich pasjach. Wiem o akwarystyce, jest filozofia i teologia, ostatnio znalazłem na Twoim biurku podręcznik do farmakologii...

Ten podręcznik dostałem od brata, ale nie chciałem żeby to była jakaś wyliczanka... Te różne moje pasje chyba biorą się z tego, że one odkrywają mi kolejne aspekty świata. W nowicjacie otrzymałem zadanie wspólnie z innym jezuitą Bartkiem Kornatowskim by stworzyć katechezę dla osób chorujących psychicznie i opóźnionych w rozwoju. Nigdy wcześniej nie miałem z takimi osobami do czynienia. Było to nowe doświadczenie, które otworzyło przede mną obszar ludzkiej psychiki, psychopatologii i z tego chyba najcenniejszej - relacji terapeutycznej. I stało się to moją pasją, którą dość mocno teraz rozwijam, korzystając z możliwości jakie daje Kraków. Właściwie wszystko, czym zajmuję się na serio jest jakoś moją pasją: i filozofia i teologia i fotografia i bycie nauczycielem i psychiatria środowiskowa, wreszcie samo bycie jezuitą też jest moją pasją. Babcia mówiła mi, że gdy się chce być szczęśliwym człowiekiem trzeba robić tylko to, co pasjonuje. No to słucham babci.

A co szczególnego jest w fotografii?

Fotografia stała się moim pierwszym zawodem i w znacznej mierze ukształtowała mój charakter. Nauczyła mnie, że do wszystkiego trzeba podchodzić twórczo i autorsko, że



Fot. R. Grzegorzczak

we wszystkim, co się robi wyrażamy siebie i nie sposób od tego uciec. Nauczyła patrzeć na świat z ciekawością, wnikliwością i usilnym staraniem zrozumienia. Tego uczone mnie w Szkole Fotograficznej w Warszawie i to mi chyba jakoś zostało. Fotografia daje szczególną pozycję obserwatora. Bez aparatu jesteś podglądaczem, z aparatem – dokumentalistą. Aparat jest soczewką. Pozwala przyjrzeć się wycinkowi rzeczywistości i wycinkowi czasu – tym jest kadr fotograficzny. I ten wycinek często mówi bardzo wiele. A jego wybór mówi wiele o samym fotografie. O jego wrażliwości, przenikliwości etc...

Ale za aparatem można też się schować.

Jasne, że można. Ale to widać w zdjęciach. Aparat jest przedmiotem agresywnym z natury. Wiesz, ktoś wchodzi w Twoje

życie i je kadruje. Często trudno jest się w tym odnaleźć i fotografowi i fotografowanemu. Na zdjęciu to wyjdzie.

Widać dystans i rezerwę.

No tak. Zdjęcia są zachowawcze lub przesadnie agresywne. Nie ma w nich właściwej emocjonalnej harmonii, która powinna się jakoś udzielić odbiorcy.

Dobre zdjęcie, to harmonia emocji? Zdjęcia wygrywające World Press Photo chyba rzadko udzielają nam harmonii emocji, częściej epatują okrucieństwem.

Przypomina mi się zdjęcie nigeryjskiego fotografa Akintunde Akinleye, zdobywcy pierwszego miejsca w kategorii „Spot News Singles” na World Press Photo w 2007 roku. Zdjęcie przedstawia Nigeryjczyka na miejscu eksplozji ropociągu w Lagos. Sceneria jest porażająca: pełno czarnego dymu, walające się szczątki przedmiotów, fragmenty pogiętej blachy falistej, drzewko majaczące na dalszym planie i ten Nigeryjczyk trzymający się za osmoloną głowę w czerwono błękitnej szacie z niebieskim kubłem na wodę. Całość jest niemal nierealna. Ale czy to zdjęcie nie ma w sobie har-

monii? Patrząc na nie czujesz niemal smród tego dymu i czujesz tragedię tej baśniowej bez mała postaci, która próbuje gasić to, co ocalało wiaderkiem wody. Emocjonalnie jesteś z tym Nigeryjczykiem. To mam na myśli, mówiąc o harmonii emocjonalnej.

Czyli trzeba wyjść zza aparatu.

Zza aparatu nie da się zrobić dobrych zdjęć. Najpierw trzeba się z rzeczywistością spotkać bez tej „przeszkody”. Stać się jej uczestnikiem. Robiłem kiedyś zdjęcia dość znanemu bieszczadzkiemu rzeźbiarzowi Zdzisławowi Pękalskiemu. Umówiliśmy się na jedno popołudnie. Ale trzeba było zacząć to wszystko od zwykłej rozmowy przy herbacie. O życiu w Bieszczadach, o korkach w Warszawie, o rzeźbie, o Cerkwici i o religii. Coraz głębsza rozmowa. I z tej rozmowy wynikają potem takie a nie inne zdjęcia. Mogę opowiedzieć zdjęciami historię mojego spotkania z Pękalskim.

Dziś praktycznie każdy ma aparat i robi zdjęcia. Czy jest to jeszcze fotografia, którą pamiętasz z początków swojego zainteresowania? I czy robienie tysięcy zdjęć można jeszcze nazwać fotografią?



Zdjęcia z cyklu: Zdzisław Pękalski, Hoczew 2004r.

To nie jest łatwe pytanie... Wiesz, no to jest zawsze fotografia – bo powstaje jakiś kadr. Kwestia jest chyba taka, czy te kadry robią ludzie, czy robią te aparaty, oraz czy taka fotografia jest dobrą fotografią. Chodzi mi o to, że dobry kadr jest świadomym wyborem fotografa. On używa szeregu środków formalnych, które wynikają z tego wyboru i stanowią o jego interpretacji rzeczywistości, czyli o historii. Fotograf używa kompozycji, ostrości, głębi ostrości, światła i cienia, koloru, waltoru, kontrastu, perspektywy, odległości od obiektu, planów... wszystko, by coś opowiedzieć. To może być estetyczne, ale wcale nie musi. W zdjęciu chyba najbardziej porusza ta obecność fotografa, jako interpretatora rzeczywistości, bo ona nadaje jakoś osobowy i osobisty charakter zdjęciom. A te miliony zdjęć, o których mówimy, są zwykle produkowane przez urządzenia, które do maksimum eliminują świadomość fotografa. Nie opowiadają żadnej historii ani nie ma w nich żadnej intrygi, bo historię musi opowiadać człowiek. Są jak obrazy z kamer przemysłowych – zabójczo obiektywne i bezduszne. Dla mnie mają coś z pornografii.

Robienie zdjęć staje się aktem moralnym...



Bez przesady, ale czasami tak. Taki aparat, który eliminuje świadomość nie przestaje być agresywnym przedmiotem. Przeciwnie, daje władzę, a ponadto zwalnia z odpowiedzialności. Jak w pornografii. Maksimum władzy i zero odpowiedzialności.

Co byś powiedział tym milionom posiadaczy aparatów, gdyby chcieli robić lepsze zdjęcia?

Żeby opowiadali historie. Wybór obiektu fotografowanego jest interpretacją rzeczywistości. Jest zapisem mojego spojrzenia, mojego przeżycia. Coś mnie skłania do takiego a nie innego wyboru. Myślę, że już samo uświadomienie tego mechanizmu może zaowocować znacznie większą liczbą bardziej przemyślanych, a przez to bardziej osobistych zdjęć. Po prostu lepszych.

**Jakie jest Twoje marzenie?
Marzenie fotografa?**

Chyba tylko: robić proste fotografie, które zmieniają mnie i innych na lepsze. Może to trochę pompatyczne, ale to w końcu marzenie.

Bardzo dziękuję za rozmowę i życzę prostych zdjęć...



ROLĄ „WYKSZTAŁCIUCHA” JEST OBRONA FUNDAMENTÓW GODNOŚCI PROSTEGO CZŁOWIEKA. PO TO SIĘ UCZYMY, ABY DZIĘKI ZDOBYTEJ WIEDZY MÓC BRONIĆ „PROSTACZKÓW”

To co robię

o. Piotr Lenartowicz SJ

Jako dziecko i mały chłopiec wychowywałem się na wsi. Całymi godzinami przesiadywałem u stolarza, podziwiając jego pracę, albo stałem na progu kuźni, gdzie kowal wyczyniał cuda z rozgrzanym do czerwoności metalem. Bałem się tego kowala, ale w tej kuźni wszystko mi się podobało. Zazdrościłem starszemu chłopcu, który miał zaszczyt dmuchać ogromnym miechem w ognisko kuźni.

Okres szkolny był kłeską. W połowie roku wyrzucano mnie ze szkoły za lenistwo i złe zachowanie (głównie za bicie się z kolegami). W szkole podstawowej tak że trzy razy zostałem przeniesiony do nowej szkoły, w gimnazjum też co roku byłem w innej klasie, bo wychowawcy pozbywali się „elementu”.

Na medycynę (AM w Warszawie) dostałem się rok po maturze i uczyłem się zawiście, z radością i łatwością. Na drugim roku kolega namówił mnie na wstąpienie do Kółka Fizjologicznego, przy Zakładzie Fizjologii Człowieka. Tam przez parę lat byłem jakby czeladnikiem, ale po czwartym roku dostałem, dwa lata przed dyplomem, pół etatu asystenta. Fizjologia mnie fascynowała. Byłem już kandydatem do jezuitów, ale mój nowicjat się opóźniał, bo po dyplomie zrobiłem jeszcze doktorat z neurofizjologii.

Gdy po nowicjacie zetknąłem się z filozofią arystotelesowsko-tomistyczną, w której biologia odgrywała wielką rolę, zrozumiałem, że jest to cudowne pole do walki z ateizmem. Wstępując do zakonu chciałem

bowiem walczyć o przywrócenie Bogu Jego miejsca w świadomości przyrodników. Ateistyczne, materialistyczne podejście do biologii wydawało mi się czymś monstrualnym, oburzającym. Tak więc następną pasją stała się filozofia przyrody ożywionej. Wszystkie wolne chwile spędzałem na ul. Chocimskiej w Głównej Bibliotece Lekarskiej, która wtedy (lata 1953-70) była świetnie zaopatrzona w czasopisma zagraniczne (znałem dobrze francuski i angielski). W 1971 roku udało mi się, po dwuletnich staraniach, wyjechać do Rzymu. Tam dokończyłem moją przeglądową pracę o wczesnych stadiach rodowodu człowieka (o australopitekach) i dalej zbierałem okruszynki faktów, eksperymentów, obserwacji, by móc dokonać pewnej syntezy pojęć na temat organizmu żywego.

Z Rzymu wyjechałem do Londynu na 18 miesięcy, gdzie znowu pławiłem się w obfitości źródeł do mojej pracy – np. biblioteka Natural History Museum w South Kensington miała ok. 300 tys. pozycji na temat zjawisk biologicznych. Gdy wróciłem do Rzymu, trafiłem na inne wspaniałe źródło tekstów biologicznych, tj. prywatny księgozbiór prof. Montalenti, znanego genetyka i ateisty. Wiedział, że jestem jezuitą, mimo to dał mi swobodę buszowania po swoich zbiorach.

Po doktoracie na Uniwersytecie Gregoriańskim i po wydaniu książki „Phenotype-Genotype Dichotomy” (1975) wróciłem do kraju i od 1976 roku pracuję na Wydziale Filozoficznym Jezuitów (obecnie „Ignatianum”). Dalej staram się

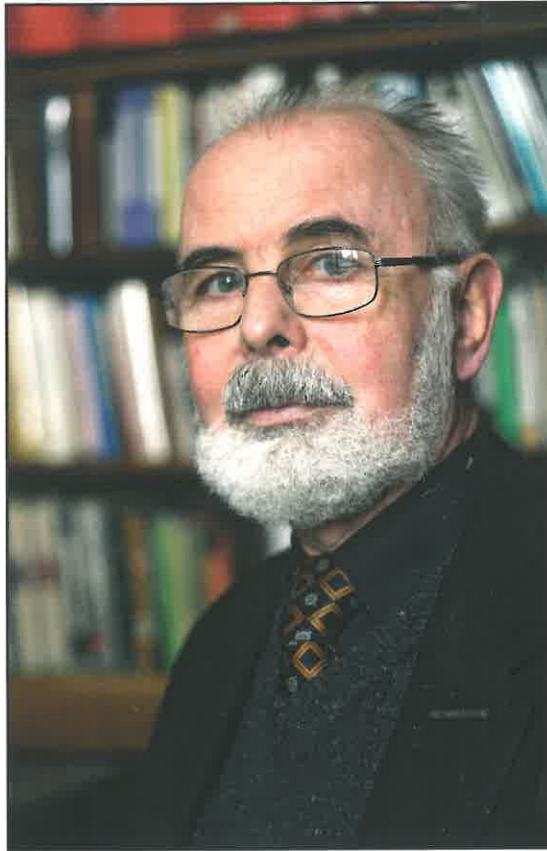
dokonywać syntezy małych kawałeczków wiedzy biologicznej i ukazywać, że mimo niekompletności obrazu, jest on wystarczającym dowodem na to, że Życie jest czymś Nadzwyczajnym, Różnorodnym, Niepodzielnym, Perfekcyjnym. To jest jakby strzałka wskazująca na niebo i Tego, który tam mieszka.

Równocześnie widzę wyraźnie, że aby wyjaśnić zjawiska biologiczne, patologiczne, by wyjaśnić śmierć – trzeba powrócić od monizmu bytowego, do pluralizmu bytów. Nie da się Boga Stwórcy sprowadzić do autora śmierci i cierpienia. Ten autor to musi być ktoś inny, inna substancja, mimo że w swej genezie pochodząca od aktu stwórczego. Nie da się też organizmów żywych sprowadzić do substancji mineralnej. To są osobne substancje, istotnie różniące się niekiedy pomiędzy sobą. Osobnymi substancjami są też poszczególni ludzie, poszczególne osoby ludzkie. Człowiek od człowieka różni się nie tylko wagą, wzrostem, czy zarostem – ale różni się w samej swej niepowtarzalnej istocie, którą moglibyśmy nazwać osobowością.

Takie podejście do biologii sprawia, że „metafizyka ogólna” staje się – w odróżnieniu od metafizyki szczegółowej (metafizyki stwórcy, aniołów, demonów, dusz ludzkich, gatunków biologicznych, materii mineralnej) – czymś bardzo abstrakcyjnym i pochodnym wobec pojęcia owych metafizyk „szczegółowych”, właściwych różnym substancjom. Pluralizm metafizyczny nie pozwala na zbyt daleko idące uogólnienia lub uproszczenia. Świat, wszechświat, rzeczywistość – są bardzo złożone i filozof nie może tej złożoności kwestionować, ani jej zamazywać.

Odbudowa pluralizmu metafizycznego jest – w moim przekonaniu – grobem materializmu, który pragnie całą rzeczywistość zredukować do „tablicy Mendelejewa”.

Czterdzieści pięć lat minęło, od kiedy zetknąłem się z filozofią, a 56 od mojego



spotkania z biologią normy i patologii, czyli z medycyną. Moje najgłębsze marzenia spełniły się, bo rozumiem teraz, jak bardzo racjonalne są wierzenia prostych, niepiśmiennych ludzi i jak bardzo nieracjonalna jest mentalność ateistyczna, wpajana młodzieży podczas realizacji obowiązkowego programu nauczania.

Dr med. Władysław Brodowski, wuj mojego ojca, który mnie wychowywał, starał się mnie przekonać, że rolę „wykształciucha” jest obrona fundamentów godności prostego człowieka. Po to się uczymy, aby dzięki zdobytej wiedzy móc bronić „prostaczków” przed „ideami”, które pozbawiają sensu ich życie i pozbawiają to życie moralnego kręgosłupa, podstawy godności człowieczeństwa.

JEST MNÓSTWO LEŚNYCH ŚCIEŻEK, Z KTÓRYCH W PRZEŚWICIE DRZEW WIDAĆ, JAK GDZIEŚ W ODDALI „MAJACZY” WAWEL CZY BAZYLIKA MARIACKA...

Zaczął się od łańcucha

sch. Leszek Wilczak SJ



Moja przygoda z rowerem zaczęła się mniej więcej, gdy miałem 8 lat. Wtedy zacząłem stawiać pierwsze „kroki” na rowerze. Związana jest z tym dość zabawna historia. Mianowicie, kiedy po wielu próbach udało mi się w końcu po raz pierwszy utrzymać równowagę na dłużej niż 4 sekundy i moje zadowolenie zaczęło sięgać zenitu, nagle poczułem, że coś nie gra. Okazało się, że spadł mi łańcuch (taka złośliwość „rzeczy martwych”). Na moje nieszczęście było z górki. Pozbawiony hamulca jak również - jeszcze wtedy - doświadczenia, wjechałem z pełnym spokojem i gracją w kiosk, który znajdował się na końcu chodnika. Tak mi się to wtedy spodobało, że nawet dzisiaj, kiedy jeżdżę na rowerze to szukam jakichś atrakcji. Jednak wbrew pozorom „wjeżdżanie w kioski” nie stało się moją pasją.

Moje początki w pewnym sensie można by porównać do pierwszych miłośników jazdy po bezdrożach. Podobnie jak oni, zaczynałem na zwykłym rowerze, tzw. „klunkerze” (z ang. clunker - klekot, grat, rzęch) - jak to oni mieli w zwyczaju nazywać. Idąc za ich wzorem, starałem się udoskonalać swój rower. Pierwszym rowerem był „reksio”. Później, jakże by inaczej, zastąpił go rower komunijny. I tak mniej więcej od tego momentu zaczęło się to „wszystko kręcić”. Po jakimś czasie, za oszczędności i dzięki hojności moich rodziców, kupiłem w końcu swój pierwszy rower górski... który niestety zaraz został skradziony. Kupiłem drugi, a później „zrodził się” trzeci, po tym jak wymieniłem wszystkie części w tym drugim. I tak to trwa do dzisiaj.

Jednak nie samym rowerem żyje rowerzysta. Żeby radość z jazdy była pełniejsza, to trzeba mieć z kim dzielić tę radość. Potrzebny jest ktoś, do kogo można się po prostu odezwać albo liczyć na czyjąś pomoc w razie jakiegoś nieprzewidzianego w planach wycieczki „badania twardości gruntu”. A propos drugiego, to na całe szczęście nie miałem zbyt wiele takich sytuacji. Za to miałem wiele okazji do dzielenia się swoją radością z innymi. Miałem tę przyjemność, że w pobliżu mnie mieszkał człowiek o podobnych zamiłowaniach, z którym przebyłem chyba najwięcej kilometrów. Począwszy od jednodniowych i kilkudniowych wyjazdów w góry, skończywszy na różnego rodzaju pielgrzymkach rowerowych. Jak na razie moim najbardziej spektakularnym osiągnięciem była pielgrzymka rowerowa do Rzymu w Roku Jubileuszowym. Na tym



wyjeździe, oczywiście oprócz jakże ważnego wymiaru duchowego, był także wymiar ludzki. Piszę tak dlatego, ponieważ w tym właśnie czasie udało mi się ustanowić swoje życiowe rekordy, których do dzisiaj nie pobiłem. Wtedy to ustanowiłem swój rekord prędkości... Może tutaj nie będę go zdradzał ze względu na zdrowie i spokój mojej mamy, która pewnie będzie czytać ten artykuł. Udało mi się wtedy przejechać najdłuższy odcinek w ciągu jednego dnia (190 km) i wjechać na największą wysokość (ponad 2000 m.n.p.m). Nie są to może jakieś wielkie rekordy, ale od czegoś trzeba zacząć. Może dla przykładu, podam tutaj rekord w jeździe wysokościowej, w której Polacy przodują, a dokładnie Tomasz Świnarski, który w 1996 r. zdobył na rowerze szczyt Pik Lenina w Pamirze (7134 m). Jak widać, nazwa rower górski jest jak najbardziej adekwatna.

Teraz, kiedy mieszkam w Krakowie, bardzo lubię wyjechać gdzieś poza miasto. Najczęściej jest to Lasek Wolski, do którego docieram w jakieś 15 minut. Jest to miejsce, gdzie mimo tak małej odległości od centrum miasta, jest zupełnie inny klimat i powietrze, które w Krakowie nie jest naj-

czystsze. Są tam naprawdę dobre warunki do jazdy rowerem. Jest mnóstwo leśnych ścieżek, z których w prześwicie drzew widać majaczący w oddali Wawel czy Bazylikę Mariacką. Kraków z tej perspektywy wygląda zupełnie inaczej (szczególnie z kopców – Kościuszki i Piłsudskiego). Ale jak wspomniałem na początku jakiś towarzysz też jest potrzebny. Dlatego też od jakiegoś czasu staram się zarażać innych współbraci swoją pasją i muszę przyznać, że jak na razie udało mi się to w przypadku co najmniej dwóch, którzy zaczęli interesować się jazdą na rowerze.

Zatem, jeżeli ktoś wybiera się do Krakowa, to polecam oprócz zwiedzania zabytków, również wybranie się do Lasku Wolskiego, gdzie znajduje się także krakowskie ZOO, oraz klasztor oo. kamedułów. Jeżeli ktoś będzie zmęczony krakowskim zgiełkiem, to miejsce to jest idealne do odpoczynku. Tą małą reklamą Krakowa zakończę i mam nadzieję, że choć trochę udało mi się zapalić w Was ideę kolarstwa górskiego. Myślę, że najlepszym wyznacznikiem tego będzie pragnienie wyjścia z domu i „porowerowania” gdzieś w nieznane, nawet mimo niesprzyjającej pogody za oknem.

Kartka z Krakowa



Procesja św. Stanisława odbywa się w Krakowie już od około VII wieków. Przypada ona na niedzielę wypadającą w pobliżu liturgicznego wspomnienia świętego (8 maja). Jej trasa biegnie od katedry na Wawelu, gdzie spoczywają szczątki patrona Polski, do sanktuarium oo. Paulinów na Skatce. Tradycja podaje, że w tym miejscu król Bolesław Śmiały miał zamordować biskupa. W pochodzie biorą udział członkowie episkopatu polski, przedsta-



wiele uczelni, zakony, klerycy, bractwa (m.in. Bractwo Kurkowe), pocztowcy, wojsko, mieszkańcy Bronowic ubrani w stroje ludowe i wielu innych świeckich. Pochód przemierza ulice Krakowa niosąc relikwie św. Stanisława. Po dotarciu do klasztoru oo. Paulinów rozpoczyna się Msza święta, której zazwyczaj przewodniczy Prymas Polski. Z ambony wygłasza kazanie dotyczące styku polityki i wiary, państwa i Kościoła.

ZNOWU ZAMYKAM I OTWIERAM OCZY... TO NAWET PRZYJEMNE

Zamykam oczy...

o. Jarosław Naliwajko SJ

Gdy zamknę oczy, to ją widzę. Nawet wyraźnie.

Właściwie to tylko przez moment, tuż przed zamknięciem powiek. Albo ciut przed otwarciem. Tak jak teraz, gdy siedzę przed komputerem. Ale co właściwie jest takiego nieuchwytnego w tym. Sam nie wiem. Może poszedłbym zapytać kogoś? Tylko że to ja jestem specjalistą od tego określenia. To jednak muszę sam. W ten sposób wróciłem do punktu wyjścia.

Znowu zamykam i otwieram oczy. To nawet przyjemne. Chociaż ostatecznie szkoda źrenic. Będę zatem siedzieć i patrzeć się w ekran. Co teraz? W ten sposób nie uda mi się jej uchwycić! Hm, wiem, zaryzykuję.

Nabieram powietrza: Więc...

Wolę zamknąć oczy.

A może teraz jej opis, będzie bardziej odpowiadał stanowi faktycznemu. Pewnie trzeba by porównać jeden z drugim. A najlepiej z trzecim. Bo przecież dysponuję dwoma jej opisami. Tylko jak pisać z zamkniętymi oczami? Czy mam ryzykować utratę klarowności opisu? Czyli bełkotu. Co na to redakcja? I przecież mam wciąż otwarte oczy! Dobra, zamykam.

Niestety. Nie udało się.

Dzwoni telefon. Musiałem otworzyć. Nie potrafiłem znaleźć słuchawki. Wróciłem do punktu wyjścia. To nawet lepiej. Teraz wiem, że nie jest zupełnie związana z dzwonkiem. Bo przecież inaczej już bym ją miał. Siądę w międzyczasie do zielonej herbaty. Okłady z torebek dobrze robią na

oczy, tak słyszałem. Bo przez to zamykanie i otwieranie mam wrażenie, że coś się dzieje niedobrego. Jeszcze nie wiem, co dokładnie. A może w ogóle coś się dzieje. Muszę się zastanowić. Tylko teraz ani nie piję, ani nie piszę.

A co z oczami? Zaraz, zobaczę w lustrze.

No, ostatecznie może być. Pamiętam, często



w nie patrzę. Ale żeby w jej poszukiwaniu, tego jeszcze nie robiłem. Zawsze jest kiedyś pierwszy raz. To nawet przyjemne, tak coś rozpoczynać. Jak tę cytrynę do herbaty. Orzeźwienie i kwaśny aromat.

Ale wracam do komputera. Zamykam oczy. Coś mi przeszkadza... No tak, radio. Raczej muzyka.

Dałbym głowę, i to zdecydowanie, że kwestia jej uchwycenia polega na różnicy w opisach. Mam jakieś podejrzenie. Bo

tak: Najpierw zamykałem i prawie była. Podobnie jak przy otwarciu. Jednym słowem ryzykowałem. Tylko, że skusiłem się na napar z cytryną. To mnie zgubiło, przyznaję szczerze.

Co ja kombinuję? Przecież generalnie wiadomo! A tak po cichutku mówiąc, to też w szczegółach, metodycznie i dokładnie. Bo inaczej to, co by kto pomyślał! Uchowaj Bo...

E, jak mogłem mieć wątpliwości?

Czyli mogę teraz spokojnie zacząć zdanie od podmiotu.

Zaraz, ale oczy miałem otwarte czy zamknięte, łapiąc tę oczywistość. Pisałem, więc musiały być otwarte. Ale po dokonaniu tego odkrycia z wrażenia zamknąłem! Ciekawe. Zatem muszę jeszcze raz



spróbować. Tylko teraz zamazuje się, ta wcześniejsza krystaliczna myśl.

Konieczny jest odpoczynek. Przecież nic w ten sposób nie osiągnę. Bo właśnie zacząłem się zastanawiać z lekko przy-mkniętymi oczami. I nagle jakby zaczynała być bardziej jasna niż przed chwilą. Wyłaniała się, tak pięknie i jaskrawo, na tle innych. Gdybym tak umiał trwać.

Niestety, popsuł się czajnik. Idę wyłączyć i teraz już tylko wdecham parę wodną. Naj-

gorzej z tymi zmianami. Raz wlewam, to znowu wylewam. Nie żeby rozlewać, bo to by było marnotrawstwo, okrutne. Nie uchodzi! Zresztą, co bym zrobił potem, wieczorem na przykład, z parkietem? Jest coś podobnego z nią, jak z filizanką od środka, gdy na nią patrzę, tuż gdy woda zaczyna lecieć i jeszcze nie przykrywa dna, bo sama jest w powietrzu, ale już od-cina ścianki od wzroku, które jednocześnie stają się dla niej tłem. Mam jakąś słabość dla tej chwili. Zupełnie podobną jak ta, którą usiłuję teraz opisać. Postanowiłem. Zdecydowanie wracam do komputera i piszę. Trzeba zacząć od początku. Co tu filozofować?

Tylko, że nie zaczyna się zdania od słowa więc.

Co tu zrobić? Wiem, zacznę od końca. Najlepiej coś już mieć. Bo najgorzej to rozpocząć. A wtedy już poleci samo! Ale będzie bardzo trudno zatrzymać. To najpierw się zastanowię. Tylko z zamkniętymi czy otwartymi oczami? Nie, nie mogę w nieskończoność popełniać tego samego błędu. I do tego ten czajnik. Kto go znowu włączył?

Tak, przecież woda jest potrzebna – co ja mówię? – konieczna. Dlatego wdy-cham? Nie potrafię tego rozstrzygnąć. Zupełnie jak z tym opisem. Nawet miałem kiedyś żal, gdy wyłączył się za wcześniej. W gruncie rzeczy sam odkręciłem jedną część i teraz mogę oddychać ile chcę.

Tylko wciąż stoję w miejscu z opisem. A terminy gonią. Obiecałem, a już się opóźniłem. I to o ile! Ile godzin? Spróbuję policzyć. Ale dlaczego najpierw pomyślałem o nich. One są jakieś dziwne. A do tego komplikuje sprawę zamykanie i otwieranie oczu. Wtedy są zupełnie inne. Godziny są jakieś tajemnicze. W takim razie będę liczył w dniach. Jedno wiem: czy zamknięte, czy otwarte, w tym wypadku niewiele zmieniają. Czyli jeden.

Ostatecznie nie jest źle.

To właściwie teraz mogę zamknąć komputer.

PAMIĘTAM UCZUCIE ZDZIWIENIA...

O języku filozofii, nie do końca poważnie

sch. Marek Rośłoń SJ

Pamiętam uczucie zdziwienia, gdy dziesięć lat temu rozpoczynałem swoje studia i usłyszałem słowa profesora wypowiedziane dość wolno i z powagą: filozofia bytu pyta o byt w aspekcie bytu... Doświadczenie to - jestem tego niemal pewny - było tym samym zdziwieniem, z którego narodziła się cała filozofia. Zdziwieniem wypływającym z kompletnego nierozumienia. Potem dziwiłem się jeszcze nie raz. Na przykład, kiedy dowiedziałem się, że metafizykę interesuje cała rzeczywistość, czyli wszystko co istnieje, bo tego co nie istnieje nie ma, więc nie ma się też czym interesować. To było jasne. Ale zaraz potem dowiedziałem się, że nie istnieje miłość, ani nienawiść, ani uczucie, ani żadna w ogóle relacja... ani nawet Wisła! Chciało mi się krzyknąć NON POSSUMUS!!! Szczególnie gdy szło o miłość — byłem wtedy po uszy zakochany — lecz nie zrobiłem tego z powodu strachu przed wstydem, jakiego niechybnie bym się najadł krzycząc na forum słuchaczy filozofii drugiego roku i będąc nieświadom, że ani strachu, ani wstydu nie ma.

Dostatecznie czujny czytelnik mógłby mi zarzucić, że usiłuję zawłaszczyć sobie w sposób nieuprawniony pierwotne zdziwienie starożytnego Greka, ponieważ on dziwił się światu, ja zaś tylko językowi. Cóż, właściwie muszę się zgodzić. Czymże jest nierozumienie wypowiedzi wobec nierozumienia świata? Z pewnej perspektywy jedynie niedokształceniem, ale

z innej... coś je łączy. Nierozumienie powoduje trwogę. Trwoga Greka rodziła się - jak piszą o tym podręczniki historii filozofii - z poczucia znikomości wobec ogarniającej zewsząd tajemnicy świata, moja zaś z perspektywy zbliżającego się egzaminu. Śmiem podejrzewać, że obydwie trwogi posiadały też wymiar religijny. Grek dawał temu wyraz składając ofiary, ja zaś sam czując się ofiarą (losu) trwałem w postawie: jak trwoga, to do Boga. Dość powiedzieć, że mnie - dziecko oświecenia - zaszokował nie świat, lecz język jakim o tym świecie można mówić. (Kolejne zdziwienie nastąpiło, gdy dowiedziałem się, że język najwięcej mówi, gdy się milczy...)

Czymże więc jest język filozofii i czemu ma służyć? Zgodnie z pewną koncepcją język daje rozumienie, stwarza wspólnotę, opowiada o świecie. Rozumienie, wspólnota i opowieść mają coś wspólnego. Ustanawiają sens. Ta koncepcja przypadła mi do gustu: miłość - ma sens, wierność - ma sens, zdrada - też ma sens, choć bolesny... Eureka! Odkryłem - świat ma sens, a język filozofii służy jego ustanawianiu, choć zwykle sam brzmi jakby sensu nie miał.

Przyznać muszę, że opanowanie początkowo kuriozalnie brzmiącego języka filozofii daje też poczucie władzy. Tym większe, im bardziej niezrozumiałymi dla ogółu frazami pozwala żonglować. Język filozofii daje poczucie rozumienia więcej niż inni, a że to rozumienie jest dla innych niezrozumiałe, tym gorzej dla



fot. M. Konopiński SJ

nich. Odezwał się jednak we mnie pewien niepokój. Nie brał się on bynajmniej z doświadczenia bycia niezrozumiałym, płynął raczej z samego doświadczenia władzy. Jeśli masz właściwe słowo na daną rzecz, to masz i władzę nad samą rzeczą. Nadawanie sensu, jakkolwiek pozwalało uchronić przed niebytem miłość, obudziło też niepokój: czy to jeszcze prawdziwa miłość? Tak odkryłem język jako narzędzie przemocy, które określając granice sensu, wyznacza też granicę władzy. Zgroza. Wszystko, co da się wyrazić w języku jest dla człowieka dostępne i oswojone. Język pozwala pojąć i pojmać rzeczywistość. Przecież na początku o to mi chodziło. Żeby zrozumieć.

Swoją drugą, niepokojącą stronę ujawniła też kwestia prawdy. Nie chodziło przy tym o Piłatowe „cóż to jest prawda?“, bardziej trapiące wydawało mi się inne pytanie: czy mam prawo mówić drugiemu prawdę, skoro ta prawda może go pojmać i zadać mu ból? Język filozofii znów wywiódł mnie na manowce. Chciałem zrozumieć i znalazłem przemoc, nie chcę przemocy, popadam w niezrozumiałość. Postanowiłem więc znów przyjrzeć się językowi filozofii, tym razem takiej, która

sama nie chce być przemocą. Mam na myśli Emmanuela Lévinasa, którego język uchodzi za wyjątkowo niekomunikatywny. Narazając się na kolejne zdziwienie z nierozumienia, począłem brnąć przez meandry wyłaniania się hipostazy z anonimowego tła il y a, metafizycznego pragnienia Innego, które nigdy zaspokojone być nie może, ponieważ Inny przekracza ideę innego w Toż-Samym, wreszcie dotarłem do sytuacji an-archicznej, przed jakimkolwiek językiem, w której Toż-Samy jest źródłowo wrażliwy na Innego i w bierności bierniejszej niż wszelka bierność zawiązuje z nim intrygę etyczną... Cóż tutaj chyba muszę przeprosić czytelnika, że być może narażam go na udział w innej intrydze. Mianowicie w tym samym doświadczeniu, które stało się moim udziałem dziesięć lat temu, gdy starałem się zrozumieć, co znaczy poznać byt w aspekcie bytu..., a które doprowadziło mnie do punktu gdzieś poza językiem, który stara się opowiadać coś, co w nim samym się zmieścić nie może. Sam tedy naraża się na niezrozumienie, ale za to otwiera na wtajemniczenie...

And after that now in the future, please God, after nonpenal start, all repeating ourselves... (Joyce – Finnegans Wake)

EJIF stawać się jezuitą dla Europy

sch. Jarosław Charchuła SJ



Nikogo nie trzeba przekonywać, jak wielką rolę w relacjach międzyludzkich odgrywa bezpośredni kontakt tak na płaszczyźnie rodzinnej, jak również międzynarodowej. Podobnie w Towarzystwie Jezusowym, które jest wspólnotą w Panu i wokół Niego się jednoczy. Niemniej jednak tworzą je ludzie – i to dość liczna grupa pochodząca z różnych krajów i kultur, dlatego też, aby lepiej współpracować i rozwijać działalność międzynarodową muszą się spotykać i wzajemnie poznawać. Taki właśnie cel przyświeca projektowi, który został nazwany EJIF, czyli Europejscy Jezuita w (trakcie) Formacji. Dokładniej rzecz ujmując dotyczy on wszystkich, którzy opuścili już nowicjat, ale jeszcze nie przyjęli święceń kapłańskich.

W sierpniu 2007 roku krakowskie kolegium gościło młodych jezuitów z całej Europy, którzy spotkali się w ramach projektu EJIF. Każdego roku takie spotkanie odbywa się w innym miejscu, zmienia się również lista delegatów. W Krakowie spotkało się dwudziestu czterech przedstawi-

cieli z osiemnastu prowincji europejskich. Wśród gości specjalnych, zaproszonych w tym roku byli: o. Mark Rotsaert, który jest Przewodniczącym Konferencji Prowincjałów Europejskich, o. Frantisek Hylmar, prowincjał prowincji czeskiej, a także o. Kessler z prowincji niemieckiej i o. Nuno z prowincji portugalskiej.

Czas forum podzielony był na dwie zasadnicze części, pierwsza to czas pracy w grupach, a także wspólnych dyskusji i prezentacji; druga natomiast to ośmiodniowe rekolekcje ignacjańskie przeżywane w milczeniu. Pierwsza część odbywała się w kolegium krakowskim, druga w Centrum Duchowości Ignacjańskiej w Gdyni. W niniejszym artykule postaram się przybliżyć tę pierwszą część forum, która miała charakter roboczy.

Tegorocznym tematem forum było: „Stawanie się jezuitą dla Europy”. Tak postawiona kwestia miała służyć sprowokowaniu dyskusji nie tylko o tym co nas łączy, ale także co dzieli. Ważnym – czy wręcz niezbędnym – etapem budowania jedności

musi bowiem być dostrzeżenie i dyskusja nad różnicami, które są wśród nas. Oczywiście nie zatrzymujemy się nad nimi, aby tworzyć niepotrzebne podziały, przeciwnie zwracamy na nie uwagę po to, aby znaleźć płaszczyznę porozumienia. Tak też było na forum. Dostrzegając specyfikę konkretnych krajów czy prowincji, szukaliśmy przede wszystkim tego co nas łączy, co jest dla nas wspólne. Nie chodziło jednak tylko o wymiar religijny, ale również – a może właściwie przede wszystkim – o wymiar kulturowy. Umieć odnaleźć płaszczyznę porozumienia, dostrzec, jak wiele nas łączy i być w stanie przedstawić to w postaci czytelnych symboli. Zadanie niezwykle trudne, ale konieczne, jeżeli chce się budować wspólnotę o zasięgu międzynarodowym.

Towarzystwo Jezusowe ze względu na swoją specyfikę i szeroki zakres działania posiada wielki potencjał i możliwości – wszystko to jednak nie będzie miało sensu, jeżeli nie będzie skłaniało do odpowiedzialności i służyło zbawieniu dusz. To był jeden z wniosków wypracowanych w trakcie forum. Niemniej jednak do owocnej współpracy potrzeba czegoś więcej niż tylko świadomości własnych możliwości, niezbędne jest również odpowiednie określenie, czy nazwanie tego co jest lub może stanowić potencjał. I tu pojawia się kolejny wniosek uczestników spotkania: naszym ogromnym potencjałem są nasze różnice. Tak, właśnie różnice mogą być naszym bogactwem i siłą. Bogactwo w różnorodności jest naszym atutem, a nasza odpowiedzialność za Towarzystwo, za Europę a także za naszą wspólnotę narodową polega właśnie na odpowiednim jego wykorzystaniu. Odpowiednim to znaczy takim, które będzie z pożytkiem dla Towarzystwa, Kościoła Europy i świata.

Robić wszystko jakby wynik całej pracy zależał tylko ode mnie a ufać Bogu tak jakby wszystko zależało od Niego a ode mnie nic. Taka jest kolejna z zasad postępowania św. Ignacego, która powinna przyświecać

naszej współpracy i naszym działaniom w Europie. To jest kolejny wniosek, do jakiego doszli tegoroczni uczestnicy EJIF-u. Niestety jednak większość zgodziła się również z tym, że na płaszczyźnie ludzkiej robimy ciągle zbyt mało. Nasze działania nie wyczerpują naszych możliwości, a nasz potencjał nie jest ciągle w pełni wykorzystany. Nie znaczy to jednak, że nie mamy z czego być dumni – przeciwnie są liczne inicjatywy tak na szczeblu międzyprovincialnym, jak również ogólnoeuropejskim, które są przykładem bardzo dobrej współpracy. Warto o tym pamiętać, nie po to jednak, aby szukać próżnej chwały, ale po to aby czerpać z nich inspiracje i promować rozwiązania, które się sprawdziły. Tak właśnie można podsumować czas forum: dostrzec, co udało się nam osiągnąć i wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość.



foto. archiwum EJIF

Nie można oczywiście pominąć jeszcze jednego aspektu tego sierpniowego spotkania, a mianowicie praktycznego wymiaru współpracy, który miał miejsce w czasie tego forum. Wszystko bowiem co robiliśmy i do czego udało się nam dojść zostało osiągnięte wspólnymi siłami, było dziełem dwudziestu czterech delegatów z osiemnastu europejskich prowincji. Tegoroczny EJIF pokazał, że potrafimy wspólnie działać, ale dał nam również możliwość bliższego poznania i nawiązania kontaktów. Mogliśmy wspólnie pracować, dyskutować, ale także – a może właściwie przede wszystkim – wspólnie się modlić. Jestem przekonany, że inicjatywy takie jak EJIF są potrzebne i mogą być wielce pożyteczne.

PRACE RENOWACYJNE ORGANÓW PRZYWRÓCIŁY STAREMU INSTRUMENTOWI PIERWOTNĄ, ROMANTYCZNĄ BARWĘ

Piękno brzmienia

sch. Kamil Hewelt SJ

Gdy słyszymy o organach w jezuickich kościołach w Polsce, zazwyczaj jako pierwszy przychodzi nam na myśl wspinały barokowy instrument ze Św. Lipki na Mazurach. Mało wiemy o innych tego typu obiektach w naszym kraju, a jeden z nich został ostatnio odnowiony. Chodzi o organy w bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie. Warto znać historię tej perły wśród jezuickich organów nad Wisłą, bo są one jednymi z najlepszych nawet w samym Krakowie, słynącym z pięknych kościołów i wspinających organów.

Organy planowano zakupić już od 1923 roku. Zamówienie zostało złożone w roku 1927. Przyczynił się do tego ówczesny rektor, o. Stanisław Cisek SJ. Wykonania podjęła się Morawska firma Braci Rieger Gebrüder z Jägerndorfu (obecny Krnov) za cenę 5000 dolarów. Organy zostały dostarczone w drugiej połowie maja (lekkko po terminie), a ich instalacja trwała dwa tygodnie. Poświęcenia dokonał o. ekonom Władysław Ochęduszek SJ. Jako pierwszy zagrał na nich dyrygent i kompozytor Bolesław Wallek-Walewski. Warto też wspomnieć o dużym wkładzie brata Józefa Kurpiera SJ, który przygotował Szkic na prospekt organów w kościele N. Serca P. Jezusa w Krakowie. Instrument, z typowym dla tamtych czasów romantycznym charakterem rejestrów, pneumatyczną trakturą oraz wiatrownicami rejestrowymi stożkowymi pierwotnie posiadał 33 głosy rozdzielone na trzy sekcje manualowe i jedną pedałową.

Po pożodze wojennej wyzwolenie zastało bazylikę, w tym też organy, w nie najlep-

szym stanie. Przyczyniła się do tego szczególnie eksplozja stojącego nieopodal pociągu z amunicją w styczniu 1945 r. Remontu organów dokonała w kwietniu 1947 r. ta sama firma, która je zbudowała. Następne odnowienie organów (bardziej gruntowne) miało miejsce stosunkowo szybko, a mianowicie w 1956 r. Tym razem prace przeprowadzała znana firma organmistrzowska Dominika Biernackiego z Włocławka. Nad przebiegiem prac czuwał prof. Józef Chwedczuk. Wtedy też zmieniono trakturę na elektro-pneumatyczną o napięciu 24V DC. Zwiększono też liczbę głosów z 33 do 45. Nie tylko dodano nowe głosy, ale także wymieniono bądź zmodyfikowano oryginalne. Modyfikacji uległ również kontuar. Zewnętrzny wygląd zmienił się przez rozmieszczenie włączników rejestrów i ich nazewnictwa. Wewnątrz natomiast umieszczono system elektryczny. Podwyższono także strój instrumentu z a' 435 Hz na a' 440 Hz. O tej zmianie świadczą stroiki piszczałek oryginalnych, które przygotowane zostały przez konstruktora do niższego stroju. Jest to szczególnie zauważalne przy piszczałkach metalowych ze stroikami zasuwkowymi. Po tej restauracji organów nie odnawiano przez 50 lat. Można zatem pomyśleć, że te prace dokonały dużych zmian. Jednak niezupełnie - oryginalna materia aparatu dźwiękowego zachowała się w 95%. Skala manualów wynosi C-g3 56 tonów. Skala pedału C-f1 30 tonów. Ilość głosów liczy 45 (w tym 4 językowe).

Mimo wszystko przez pół wieku instrument zdążył się zużyć, a niektóre części wymagały modernizacji. Aby pozyskać

fundusze stworzono projekt Jezuickie perły Południa - ochrona kulturowego dziedzictwa europejskiego. Inwestycję wsparły dwie instytucje: Mechanizm finansowy Norweski, oraz Mechanizm finansowy europejskiego obszaru gospodarczego (EOG). Instytucjami pośredniczącymi były: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Ministerstwo Rozwoju Regionalnego. Remontu podjęła się firma organmistrzowska Michała Klepackiego. Zachowała ona istniejący prospekt organowy według projektu br. Józefa Kurpie-



rza SJ. Prace renowacyjne przywróciły zabytkowemu instrumentowi pierwotną, romantyczną barwę. Dyspozycja organów uległa korekcie. Dodano trzy nowe miechy systemu pływakowego, wymieniono kontuar wraz z wyposażeniem oraz dmuchawę, dzięki czemu mechanizm organów może funkcjonować jeszcze dokładniej.

18 listopada 2007 zorganizowano koncert wdzięczności dla wszystkich, którzy przyczynili się do odnowienia organów w bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa. Wprowadzenie powiedział o. Stanisław Groń SJ – były prefekt bazyliki. Potem, w prezentacji multimedialnej autorstwa Zbigniewa Szulczyka SJ, pokazano całość prac renowacyjnych poczynionych przez ostatnie pół roku.

Centrum wieczoru był oczywiście sam koncert. Organy zabrzmiały pod palcami Jerzego Kukli, artysty międzynarodowej sławy, mającego w swoim dorobku nagra-

nie czterech płyt. W repertuarze znalazły się utwory Cesara Francka: I Chorał E; Władysława Żeleńskiego: Preludium op.

38: nr 2, 10, 17, 18, 20; Johanna Sebastiana Bacha: Toccata i Fuga d BWV 565, oraz Ferencza Liszta: Fantazja i Fuga na temat chorału Ad nos, ad salutarem undam z opery Prorok G. Meyerbeera. Nowo wyremontowany instrument nie tylko uświetnia msze święte i nabożeństwa w Bazylice, ale jest także wykorzystywany podczas koncertów



krajowych i międzynarodowych odbywających się w jezuickiej świątyni. Na jego odnowieniu zyskał nie tylko Kraków, ale także Polska i europejska kultura.

CHRZEŚCIJAN CZEKAĆ DŁUGA DROGA POJEDNANIA,
KTÓRA TRWA NIEUSTANNIE DO DZIŚ

Zaczyn pojednania

sch. Paweł Rakowski SJ



Fot. J. Lisek

Łyk historii

Bez poznania historii Kościoła choć w zarysie nie ma sensu czytać tego artykułu. Dlatego pozwólcie, że na początku podam łyk historii. Pierwsze wspólnoty chrześcijańskie żyły w jedności dość krótko. Bardzo szybko pojawiły się rozbieżności w sprawach interpretacji słów Chrystusa oraz tożsamości chrześcijan. Już w samych początkach chrześcijaństwa zrodził się ruch apologetyczny, który bronił czystości wiary. Stąd wzięły się w Kościele sobory powszechne, które wyjaśniały podważane prawdy wiary. Jednak w roku 1054 doszło do tzw. schizmy, która podzieliła Kościół na wschodni i zachodni. W roku 1517 Marcin Luter swymi 95 тезami przypieczętował dalszy podział w Kościele katolickim. Od tamtych wydarzeń sytuacja niemal nie zmieniała się aż do wieku XX, w którym to ekumeniczne poszukiwanie jedności rodziło się na poważnie. Głębokim tego symbolem było obustronne odwołanie ekskomunik z 1054 roku, ogłoszone przez

papieża Pawła VI i patriarchę Konstantynopola Athenagoras (7 XII 1965). Do tego wydarzenia przygotowywał Kościół katolicki Sobór Watykański II, na którym obecni byli również przedstawiciele Kościoła prawosławnego. Sprawa jedności w podzielonym „Kościele zachodnim” jest o wiele bardziej skomplikowana, gdyż Kościoły protestanckie są mocno podzielone wewnętrznie. Pomocna w tej kwestii stała się powołana w roku 1948 w Amsterdambie Światowa Rada Kościołów, która

zrzesza większość „zachodnich” Kościołów. Poszukiwanie drogi jedności nie mogło opierać się wyłącznie na dialogu teologicznym. Chrześcijan czekała długa droga pojednania, która trwa nieustannie do dziś. Rozpoczęła się ona w roku 1940...

Bracia z Taizé

Roger Louis Schutz-Marsauche wyruszył ze Szwajcarii w stronę Francji, osiedlił się w Taizé i tam podczas II wojny światowej pomagał uchodźcom. Oprócz tego zajmował się również sierotami. Poświęcenie uwagi dzieciom jest charakterystycznym rysem wspólnoty Taizé. W opiece nad nimi pomagała Bratu Roger jego siostra Geneviève, która mieszka tam aż do dnia dzisiejszego. Już wtedy myślał o tym, by poświęcić całe swoje życie modlitwie o pojednanie i pokój. W pierwszych kilku latach dołączyli do niego pierwsi towarzysze i razem rozpoczęli wspólnotowe życie modlitewne. Była to duża nowość. Brat Roger

oraz pierwsi jego towarzysze byli ewangelikami. Sam Roger studiował kalwinizm. Niedługo potem do wspólnoty dołączyli pierwsi katolicy. W ten sposób powstała pierwsza ekumeniczna wspólnota przypominająca wspólnotę zakonną (i de facto się nią stała). Bardzo szybko do Taizé zaczęła przyjeżdżać młodzież. Z tego, co opowiadał mi brat Marek (jeden z dwóch Polaków, którzy żyją we wspólnocie), oni

stanckich. Jan Paweł II odwiedził tę wspólnotę 5. X 1986. roku i co roku gościł Brata Roger, na prywatnej audiencji. Mimo wielu spekulacji na temat konwersji Brata Roger, był on do końca swego życia ewangelikiem. Wyznawał wiarę w obecność Chrystusa w eucharystycznym chlebie i winie, dlatego dostał pozwolenie papieża na przyjmowanie Komunii Świętej. W tym geście widać wizję pojednania o jaką chodziło zarówno



fol. P. Rakowski 52

sami nie wiedzą dokładnie, jak to się stało. Brat Roger spostrzegł, że przed nowo powstałą wspólnotą zostaje postawione nowe wyzwanie – pozwolić młodym ludziom towarzyszyć wspólnej modlitwie braci. Tak dzieje się do dzisiaj. Bardzo szybko do Taizé zaczęli przyjeżdżać również młodzi Polacy. Brat Roger otaczał ich szczególną uwagą, ze względu na polityczną sytuację, jaka panowała na wschodzie Europy. Brat Marek opowiada, że ich założyciel często modlił się za Polaków oraz za mieszkańców Europy Wschodniej w tym trudnym dla nich czasie komunizmu.

Od początków istnienia wspólnoty Brat Roger utrzymywał żywy kontakt ze Stolicą Apostolską oraz z przedstawicielami Kościoła prawosławnego i Kościołów prote-

Bratu Roger, jak i Janowi Pawłowi II – aby dążyć do jedności nie odcinając się od swoich korzeni.

Brat Roger zginął 16. VIII 2005. roku mając 90 lat. Został zabity podczas wieczornej modlitwy. Jego śmierć wstrząsnęła młodymi ludźmi na całym świecie. Nowym przełożonym wspólnoty został Brat Alois.

Dzisiaj we Wspólnocie Taizé jest około 100 braci. Tworzą ją zarówno katolicy jak i ewangelicy z różnych Kościołów. Bratu Roger zależało, by wspólnota zbyt szybko się nie rozrosła. Obawiał się, że wtedy zagubiłaby swój pierwotny charakter. Dlatego Bracia bardzo rzadko przyjmują nowych członków. Utrzymują się z własnej pracy i nie przyjmują prezentów ani spadków. Jeśli już dojdzie do takiej sytuacji, to



Grób Brata Goger

Bóg chce nas uczynić szczęśliwymi w ciągu naszego życia. Zaczynamy rozumieć, że rozwija się w nas to, co najlepsze dzięki prostemu zaufaniu pokładanemu w Bogu.

Brat Roger

wszystkie dary przeznaczają na pomoc dla ubogich. Pewnego razu za spadek udało się kupić cały skład ryżu dla mieszkańców Korei Północnej.

Mówiąc o Taizé nie można nie wspomnieć o muzyce. Pieśni ułożone specjalnie na modlitwy Braci zostały zasymilowane przez niemal wszystkie wspólnoty chrześcijańskie. Któż w Polsce nie zna Pan jest mocą swojego ludu, Laudate Dominum, czy choćby kanonu Magnificat. Bardzo często kompozytorzy inspirowali się bogatą tradycją muzyki kościelnej, a jednym z częściej wykorzystywanych w śpiewie języków jest język łaciński. Jednym z kompozytorów był, nieżyjący już, jezuita J. Gelineau.

Ślady Taizé w Krakowie

Dlaczego piszę o Wspólnocie z Taizé w Naszych Wiadomościach? Ponieważ przesłanie Braci jest bardzo dobrze zakorzenione wśród studentów z naszej Wspólnoty Akademickiej Jezuitów (WAJ). Już od kilku lat nasze duszpasterstwo jest miejscem przygotowania do wyjazdu na Europejskie Spotkania Młodych (ESM), które odbywają się

corocznie w którymś z europejskich miast (od 28 XII do 1 I). W poprzednie wakacje udało nam się zorganizować również pielgrzymkę do samego Taizé. Na czym polegają nasze przygotowania? Spotykamy się na wspólnej modlitwie w każdy czwartek o godz. 20 w kaplicy akademickiej. Po niej formujemy grupy, na których dzielimy się naszym doświadczeniem wiary.

W tym roku spotkanie odbędzie się w Genewie. W ramach przygotowań 27 X mogliśmy gościć w naszym duszpasterstwie Brata Marka z Taizé. Całe spotkanie odbywało się pod hasłem Dzień jak w Taizé i miało nam ono przybliżyć rytm, jakim żyją młodzi przybyszający do tej burgundzkiej wioski we Francji. W spotkaniu wzięło udział około 80 osób. Nasz dzień rozpoczęliśmy poranną mszą świętą, następnie po wprowadzeniu biblijnym wszyscy mogli się udać na osobistą modlitwę. Po niej formowaliśmy grupy dzielenia. Przed wspólnym posiłkiem spotkaliśmy się na modlitwie południowej. Po obiedzie każdy z uczestników mógł wybrać jeden z zaproponowanych warsztatów. Część młodych mogła



FOT. P. RAKOWSKI SJ

Spotkanie jest doskonale zorganizowane. We wszystkim pomagają sami uczestnicy. Na zdjęciu jeden z nich przy wejściu do Kościoła Pojednania.

wziąć udział w spotkaniach z przedstawicielami Kościoła prawosławnego oraz Kościoła baptystów. Jedną z grup udała się na spotkanie z karmelitankami. W naszym duszpasterstwie były również warsztaty gospel oraz spotkanie z o. Zygfrydem Kotem, który odkrywał przed nami świat ikon. Po warsztatach podczas podwieczorku mogliśmy wspólnie podzielić się naszymi wrażeniami. Po nim odbyło się spotkanie z Bratem Markiem, który opowiedział nam więcej o Taizé, o wspólnocie, o ekumenizmie, o spotkaniu w Genewie. Dzień zakończyliśmy modlitwą wieczorną. Po tym wydarzeniu udało się zebrać garstkę ludzi, którzy chcą bardziej zaangażować się w Grupę Taizé przy naszym duszpasterstwie. Takim już pierwszym owocem naszej pracy był dzień skupienia pod hasłem Daj mi pić, który 8 XII poprowadził ks. Marek Rosłoń SJ.

Przed nami pielgrzymka do Genewy, ale już teraz myślimy o tym, co będzie dalej. Zaraz po powrocie rozpoczynamy

przygotowania do wakacyjnego wyjazdu do Taizé.

Od stycznia również planujemy wznowić nasze comiesięczne spotkania modlitewne. Mają one bardziej „uroczysty” charakter i zapraszamy na nie więcej osób z całego Krakowa. Na czas comiesięcznych modlitw tworzymy tzw. Scholę Taizé.

Ten krótki artykuł o Taizé chciałbym zakończyć słowami Jana Pawła II do młodych przybywających do tej niezwykłej wioski: (...) do Taizé przybywa się jak do źródła. Wędrowiec zatrzymuje się, zaspakaja pragnienie i rusza w dalszą drogę.

więcej o Taizé na:

www.taize.fr/pl

kontakt w Krakowie:

Grupa Taizé Wspólnoty Akademickiej Jezuitów (WAJ)

ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków

www.waj.krakow.pl/grupataize

taize.krakow@gmail.com

DZIECI SĄ BEZPOŚREDNIE I W RELACJI DO BOGA MOGĄ BYĆ DLA NAS - DOROSŁYCH DOBRZYMI NAUCZYCIELAMI

Apostolat dzieci

sch. Jakub Szelka SJ



Rozpocznię od małego wspomnienia. Kilka lat temu byłem na Mszy Świętej, na której dzieci nie siedziały przy swoich rodzicach, a wprost przeciwnie – były obecne w całym kościele. Słysząc ich głosy, które może niekoniecznie przypominały śpiew, ale widać było w tych dzieciach wyjątkową, nieograniczoną spontaniczność. Jeden ze współbraci, powiedział przy tej okazji, że oto mamy przed sobą żywy Kościół. Kościół, który był radosny. Pomyślałem sobie, że tak może być w każdym miejscu. Trzeba tylko pozwolić dzieciom przychodzić do Jezusa. Po jakimś czasie przekonałem się, że takie doświadczenie dziecięcej radości mogą widzieć również w Krakowie.

Jest takie miejsce, gdzie rodzice z dziećmi mogą przyjść na mszę, która jest dla nich, gdzie od samego początku, aż po ostatnie sekundy widać tę właśnie radość.

W każdą niedzielę o godzinie 11:00 spotykamy się na wspólnej Eucharystii w Kaplicy Akademickiej WAJ-u. Kaplica jest mała, ale nie stanowi to dla nas problemu. Od lat msza odprawiana o tej samej porze przyciąga wiele rodzin z terenu całego Krakowa. Można zobaczyć maluchów, którzy są w wózkach dziecięcych, jak również trochę starszych – z przedszkoli i podstawówek.

Msza zaczyna się od tego, że dzieci, które chcą, mogą zasiąść na schodkach przed ołtarzem. Nietypowe? To dopiero początek.

Nie wystarczy siedzieć, ale od czasu do czasu trzeba też trochę poklaskać, poskakać, a wszystko to przy grze naszych skrzypa-czek: Ani i Madzi, gitarze Stefana i moich próbach gry na bębnie. Msza się rozpoczyna, procesja powoli, niemalże przeciskając się dociera do ołtarza. Mógłbym się tutaj rozpisywać o tym, co się dzieje na tej Mszy, ale krótko zawrę to wszystko w dwóch słowach: **JEST RADOŚĆ!!!** Radość dzieci, rodziców, dziadków i nasza



również, bo widząc ich poznajemy jakim są oni skarbem dla Boga i w tych radosnych głosach i oczkach można też jakby ujrzyć Jego samego. Każde z nich jest niesamowicie cenne. Dają ogromnie dużo pociechy. Dzieci są bezpośrednie i w relacji do Boga mogą być dla nas – dorosłych dobrymi nauczycielami. Często zaskakują mnie wezwania, które dzieci wypowiadają w czasie modlitwy wiernych. Proszą o zdrowie dla najbliższych, ale nie zapominają też o dzieciach z sierocińców, ludziach bezdomnych i innych, którzy tej modlitwy potrzebują. Są to prośby płynące od serca.

Dzieci angażują się nie tylko poprzez śpiew i taniec, ale również przez czytanie czytań, śpiewanie psalmów i służenie do mszy.

Często zastanawiamy się też, co zrobić, aby te msze były coraz bardziej zrozumiałe dla

dzieci. Od kilku tygodni staramy się przed każdą Eucharystią w prostych słowach tłumaczyć poszczególne gesty, np. czym jest znak krzyża, dlaczego ksiądz jest w takim kolorowym stroju i co to jest za strój, dlaczego są świece na ołtarzu, no i czym jest ołtarz. No i chyba najważniejsza sprawa, że podczas Mszy Świętej Jezus jest z nami naprawdę (z resztą jestem przekonany, że dzieci niekiedy lepiej zdają sobie z tego sprawę niż dorośli).

Dla mnie każda msza z dziećmi jest możliwością ponownego odkrycia wielu rzeczy, jakie niesie ze sobą dzieciństwo, a o których zdążyłem już zapomnieć i długo byłoby mi tutaj o nich teraz się rozpisywać.

W tym roku powróciliśmy do tradycji wspólnych pikników na Przegorzałach. Jest to czas dobry nie tylko na zajadanie się kiełbaskami, ale też na integrację dzieci i rodziców, poprzez różne zabawy i rozmowy, czyli po prostu wspólne bycie razem. Sprawia to, że nie czujemy się obcy między sobą.

Zapraszam wszystkich Krakowian i gości do tego, aby wraz ze swoimi dziećmi przychodzili na msze dziecięce w każdą niedzielę na godzinę 11:00 do Kaplicy Akademickiej (Kopernika 26, Kraków).



WSZYSTKO CO UCZYNILIŚCIE JEDNEMU Z TYCH BRACI MOICH,
MNIĘSCIE UCZYNILI.

(Mt 25, 40)

Być dobrym jak chleb

sch. Jakub Biela SJ

Przytulisko św. Brata Alberta dla Bezdomych Kobiet w Krakowie.

W jaki sposób opowiadać o tym, co do końca nie da się wyrazić? A czymś takim bez wątpienia jest działanie Boga w życiu człowieka. Z trudem przychodzi oddanie w słowach dobroci Boga, która pragnie być nie tylko opisywana, lecz przede wszystkim kontemplowana.

Przytulisko św. Brata Alberta dla Bezdomych Kobiet w Krakowie było zapoczątkowane przez św. Brata Alberta w XIX wieku w słowach: *Trzeba być dobrym jak chleb, gdyż tylko w ten sposób można realizować najważniejsze przykazanie miłości* – a po dziś dzień jest kontynuowane przez Zgromadzenie Sióstr Albertynek.

Czego może doświadczyć jezuita w tym dziele? Przede wszystkim może sobie głęboko uświadomić, że my w tym życiu niczego nie zaczęliśmy i niczego nie zakończymy. Ktoś inny rozpoczął i ktoś inny zakończy. My, jesteśmy tylko – a może aż, wpisani w zbawczą działalność Nieskończonego.

Gdybyś rozdał na jałmużnę, całą majątność swoją, a miłości byś nie miał, byłbyś niczym – mówi św. Paweł. Jałmużna bez miłości nic nie znaczy. Nie pieniądze rzucone dla spokojnego sumienia są istotne, lecz moment pochylenia, przytulenia pokrzywdzonego z jego ułomnościami i problemami. Takie jest przesłanie Przytuliska. Na potrzebujące kobiety czeka Bóg, a wraz z Nim Siostry, które z pełnym poświęce-

niem spełniają w Przytulisku swoją misję. Opatrują rany, leczą dusze i ciała. Po żywoność i odzież przychodzą matki wychowujące samotnie dzieci, rodziny wielodzietne, osoby bezrobotne. Nikt nie wychodzi z pustymi dłońmi i zimnym sercem.

Zgłaszają się tu kobiety z całej Polski. Bez względu na porę roku i dnia stają pod bramami Przytuliska. Bez skierowań, zaświadczeń, formularzy, określonych warunków przyjęcia i pobytu. Często ukrywają prawdziwą tożsamość. Są wśród nich matki z dziećmi, ofiary przemocy, sekt, uzależnień, wychowanki Domów Dziecka. Każdy zostaje wysłuchany i potraktowany jak Osoba godna wszelkiego szacunku. Dzieci mogą kontynuować porzuconą naukę, kobietom z rodzin patologicznych szuka się pracy i mieszkania, osobom starszym załatwia się Domy Opieki Społecznej. Kobiety słabe psychicznie otrzymują fachową pomoc lekarską i psychologiczną.

Człowiekowi poratowanemu należy otworzyć furtkę do wyjścia z nędzy, stać się to może tylko przez pracę.
(Św. Brat Albert)

Mieszkancki nie otrzymują nic za darmo. Dach nad głową, pomoc materialną i duchową opłacają wielką pracą, pokorą i świadectwem. Każda z nich ma określone obowiązki. Zajęcia uczą dyscypliny i wytrwałości. To wszystko ma na celu pomóc im powrócić do życia, które będą wiodły po opuszczeniu Domu.



fot. S. Emanuele Wilhelma Kamatai

Obserwując już ponad dwa lata życie w Przytulisku, nie sposób nie zauważyć zasadniczej zmiany w podopiecznych. Zmiany, która dokonuje się poprzez doświadczenie uzdrawiającej łaski Jezusa i opieki Ducha Świętego. Urzeczywistnia się ona w sposób szczególny przez czytanie Pisma Świętego, cotygodniowe konferencje, katechezy, nabożeństwa oraz w czasie Adwentu i Wielkiego Postu – ignacjańskie rekolekcje. Dzięki nim mieszkanki Przytuliska odnajdują na nowo sens wiary, powracają do życia zgodnego z zasadami chrześcijańskimi. Niejednokrotnie w Przytulisku pierwszy raz spotykają się z Bogiem w Sakramentach (Chrzest, Eucharystia, Bierzmowanie). W większości przypadków życie Bogiem i dla Niego, staje się dla nich główną motywacją w walce z uzależnieniami. Wytrwała modlitwa rozbudza w nich działanie Ducha Świętego. Uświadamiają sobie swoją wartość w oczach Boga. Przekonują się, że świat, w którym żyjemy nie jest „boską zabawką”, lecz miejscem Jego troski o nas. Modlitwa daje im poczucie,

że istnienie świata i człowieka w nim ma boski sens, który nas przemienia i czyni podobnymi do Stwórcy. Sprawia, że istota ludzka – tak, jak chciał św. Ignacy Loyola – zaczyna żyć przede wszystkim po to, aby Pana Boga czcić i Jemu służyć, a przez to osiągnąć życie wieczne.

Wyrażam wielką nadzieję, że jezuici nadal będą przyczyniać się do większej chwały Bożej poprzez „dawanie” siebie bliźnim, zwłaszcza ubogim duchowo, a tym samym radując św. Ignacego Loyoli, spoglądającego z domu Ojca. W Normach Uzupełniających do naszych Konstytucji czytamy: *Jest więc rzeczą jak najbardziej pożądaną, by apostoł kroczący zawsze za Chrystusem ubogim, stosował się w sposobie życia do tych, którym w jakiś sposób pomaga. Stając się wszystkim dla wszystkich.* (Konstytucje Towarzystwa Jezusowego, Normy Uzupełniające, 176) Życzę sobie i współbraciom, abyśmy pozostali wierni tym słowom, a przez to nieustannie wpisywali się w dzieło Boga na ziemi.

CZŁOWIEK JEST WIELKI WÓWCZAS, GDY DZIELI SIĘ SAMYM SOBĄ I TYM, CO POSIADA Z INNYMI

Wolonatriat

sch. Wojciech Werner SJ

Wartościowe jest jedynie życie z pasją. Wypełnione oddaniem się temu co kochamy, w czym jesteśmy dobrzy i realizujemy siebie, co sprawia nam radość. Antoine de Saint-Exupéry powiedział niegdyś: *„Naprawdę istnieje tylko jedna radość: obcowanie z ludźmi”*.

Słowa „życie z pasją” mogą mieć także inne znaczenie... Pasja Chrystusa uświadamia nam bolesną dla naszej natury nieuniknioną śmierć. Cierpienie, strach, ból – Krzyż wpisany w historię drogi do Boga.

Wolontariat odpowiedź Miłości, która domaga się czynów.

Jestem głęboko przekonany, że te dwie perspektywy odsłaniają przed nami istotę wolontariatu. Oddanie się drugiemu rodzi w nas radość, ukazuje sens naszego życia. Z drugiej zaś strony, jest zgodą na dźwiganie krzyża człowieka, któremu tę pomoc niesiemy. Czyż nie jest to chrześcijaństwo w czystej formie?

W jednym ze swoich przemówień do młodych papież Jan Paweł II powiedział: *„Choć wieczność jest naszym celem jako ludzi znakniowych prawdy i szczęścia, tłem naszych codziennych trudów jest historia. Chrześcijanin [...] nie może uciekać w inny wymiar, ignorując dramaty swojej epoki, zamykając oczy i serce na niepokoje, które przenikają naszą egzystencję. Przeciwnie, choć nie jest z tego świata, zanurza się w tym świecie, gotów spieszyć tam,*

gdzie trzeba dopomóc bratu, otrzeć łzy, odpowiedzieć na wołanie o pomoc”.

Wolontariat działający przy Duszpasterstwie Akademickim „WAJ” w Krakowie zrzesza grupę osób, które to wołanie usłyszało i w dodatku pragnie na nie odpowiedzieć. Jako scholastyk mam niekłamana przyjemność i zaszczyt towarzyszyć ludziom, których praca, poświęcenie i zapał są dla mnie wielkim świadectwem oddania się Bogu i bliźniemu.

Św. Josemaría Escrivá de Balaguer mawiał: *„Samotny wysiłek każdego z Was jest nieskuteczny. Ale jeżeli połączy Was miłość Chrystusowa, zadziwicie się płodnością waszych wysiłków”*. Ilustracją tych słów może być akcja „święteczna paczka” przeprowadzona w grudniu ubiegłego roku, w którą już od kilku lat angażują się także nasi wolontariusze. Nie byłaby ona możliwa bez odczucia ich zaangażowania i bez pojawienia się w naszych szeregach nowych osób rozpalonych pragnieniem niesienia pomocy. Nietrudno jest dostrzec, jak ważna i owocna jest praca zespołowa.

Wolontariat gromadzi bardzo różnych ludzi. Jednak jest coś, co nas wszystkich łączy. Sądzę, że przedstawione poniżej świadectwa naszych wolontariuszy pozwolą domyśleć się, czym jest to „coś”.

Sylwia: *„Wolontariat był moim marzeniem, którego realizacją miałam się zająć w czasie studiów. Nie chciałam, żeby moje życie studenckie było jałowe i ograniczało się jedynie do nauki. Niestety, trudne początki na uczelni sprawiły, że w pewnym mome-*



Grupa wolontariatu Duszpasterstwa Akademickiego WAJ

nie tak też się stało. Niemniej jednak myśl o wolontariacie ciągle była we mnie obecna. Dojrzewała, a ja razem z nią. W tym roku powiedziałam sobie, stop, nie wystarczy o czymś myśleć, trzeba zacząć działać, jak pisze bł. Franciszek Palau «miłość domaga się czynów». Bóg chyba czekał na te moje słowa, bo naprawdę tak mi wszystko poukładał, że mogę przychodzić i na wtorkowe spotkania i aktywnie działać jako wolontariuszka. Jak to jest być w wolontariacie? Człowiek dojrzewa, uczy się zarówno samego siebie, jak i osób, którym pomaga. Trzeba pracować nad sobą i nad organizacją swojego czasu. Wolontariat wzbogaca życie i pozwala rozwijać różne nasze talenty”.

A oto refleksja Pauliny tuż po odwiedzeniu kilku rodzin w ramach akcji „święteczna paczka”, w której w trójkę, wraz z Moniką, braliśmy udział: „Po pierwsze, było to na pewno ważne doświadczenie – poznałam ludzi, których świat jest zupełnie inny od mojego. Sytuacje, jakie oglądamy w filmach dokumentalnych dzieją się „w realu”, w tym samym mieście, na tej samej ulicy, a nawet

w tej samej kamienicy. Patrząc na tak ciężką sytuację ludzi, zastanawiasz się, co ich do tego doprowadziło i zaczynasz dostrzegać, jak łatwe i przyjemne jest twoje własne życie. Wiadomo, każdy ma swoje problemy, ale to wszystko staje się niczym w porównaniu z tym, co dotyka rodziny, które poznaliśmy. Tych kilka godzin dało mi naprawdę dużą satysfakcję. Zastanawiam się, w jakim stopniu zrobiłam to dla siebie samej, z czystego egoizmu. Oczywiście, fizycznie był to pewien wysiłek, ale duchowo dało naprawdę „powera”. I chociaż wracałam do domu w taki sam, ohydnie szary dzień, nie czułam już tego, co wcześniej. Czułam ciepło mojego serca i serc ludzi, którzy byli wokół mnie”.

Marzena: „Postanowiłam uczestniczyć w akcjach wolontariatu, ponieważ to daje mi poczucie, że zrobiłam coś dobrego, poczucie bycia lepszym człowiekiem. Świadomość, iż poprzez moją pomoc mogę choć na chwilę zmienić czy poprawić czyjeś życie, sprawia, że czuję się lepiej”.

WSPÓLNIE SPĘDZONY CZAS, WSPÓLNE DOŚWIADCZENIA
SPAJAJĄ RELACJĘ

Twarzą w twarz

sch. Paweł Beń SJ



Nowe doświadczenie zawsze wymaga wyjścia poza okolicę, z którą zdążyliśmy się oswoić. W tej wędrówce niesiemy ze sobą bagaż pełen wspomnień, które wracają i przypominają o tym, co nas spotkało wcześniej. Wygodniej idzie się, gdy ten ładunek nie stanowi dla nas ciężkiego balastu, lecz raczej wór pamiątek po tym, co się wydarzyło. Stawiamy kolejny krok na nieznanym gruncie, sięgamy wzrokiem jedynie do linii horyzontu. Szukamy naszej drogi w tym świecie, który nas otacza. Raz chodzimy udeptanymi ścieżkami, kiedy indziej wybieramy nieprzetarte szlaki. Żyjąc wraz z innymi ludźmi szukamy wspólnych dróg. Jednak nie da się zaprzeczyć, że każdy z nas ma swoją własną ścieżkę. Towarzysze drogi dzielą wspólny los, ale każdy z nich ma swój wewnętrzny szlak, który przebywa samotnie. Oczywiście, po takiej wyprawie w pojedynkę, mogą spotykać się i opowiedzieć sobie o swoich przeżyciach.

Hinduski jezuita Parmananda Divarkar napisał książkę Droga wewnętrznego poznania. O *Ćwiczeniach duchownych świętego Ignacego Loyoli*. Już sam tytuł oddaje istotę duchowości ignacjańskiej, a treść książki wprowadza w wewnętrzne doświadczenie pielgrzymowania, bycia w drodze. Myślę, że jest ona takim opowiadaniem o wędrówce przez życie wraz z książeczką *Ćwiczeń duchownych*, do której powstało sporo komentarzy, mniej lub bardziej osobistych. Każdy wypływa z indywidualnego przeżycia przemienienia, które wynikało z wzięcia sobie do serca tego, co ona zawiera, a składa się na nią święta historia zbawienia opowiedziana w *Fundamencie i Czterech tygodniach*. Gwoli przypomnienia: w *Fundamencie* medytuje się moment stworzenia wszystkiego jako dobrego, *pierwszy tydzień* proponuje rozmyślanie nad zakłóceniami między człowiekiem i Bogiem, drugi wprowadza w rzeczywistość Słowa, które stało się ciałem, natomiast trzeci i czwarty wiecie poprzez mękę i śmierć Jezusa ku zmartwychwstaniu i objawieniu się miłości, do kontemplacji, do której zachęca święty Ignacy w *Ad amorem* na końcu *Ćwiczeń duchownych*.

Jeszcze innym tekstem zapraszającym do przemyślenia i przejścia drogi *Ćwiczeń duchownych jest Doświadczyć Boga. Życie chrześcijańskie w „Ćwiczeniach duchownych” św. Ignacego Loyoli* autorstwa polskiego jezuitę, Henryka Dziadosza. Jeśli miałbym bez namysłu wybrać parę rzeczy, które mógłbym zabrać na bezludną wyspę w ostatniej chwili, zdecydowanie byłyby wśród nich dwie wymienione tutaj książki.

Lektura literatury z dziedziny duchowości ignacjańskiej jest pomocna, ale nigdy nie zastąpi tego, o czym jest w niej mowa. Jedynie własne doświadczenie prowadzi do istoty, do usłyszenia i odczucia tego pulsującego serca. Osobista przygoda z duchowo-

Spotkanie przyjaciół prowadzi z czasem do coraz większej zażyłości. Obecność bliskiej osoby, fizyczna bądź duchowa, jest wsparciem w zmaganiach, a w radości spotęgowaniem szczęścia. Wspólnie spędzony czas, wspólne doświadczenia spajają



foto: D. Doliński

wością zaczyna się od odkrycia świata wewnętrznych przeżyć, który tkwi w nas i jest nam w pełni i bezpośrednio dostępny. Zadaniem *Ćwiczeń duchownych* jest kształtowanie tego głębszego wymiaru naszego życia. One uczą nas, jak poruszać się w naszej intymnej izdebce. Ta mała książeczka przeobraża tę wewnętrzną rzeczywistość. Właśnie na tym polega narodzenie się na nowo z ducha, o którym Jezus mówi Nikodemowi.

W jaki sposób *Ćwiczenia duchowne* przemieniają człowieka? Ich rolą jest udrożnienie duchowych kanałów. Dobra komunikacja umożliwia porozumienie. Ta mała książeczka uczy również wsłuchiwać się w Słowo ze współodczuwaniem. A więc umożliwia udane spotkanie. W ten sposób nawiązuje się nić porozumienia między Tym, Który nas powołał do istnienia, a nami, którzy odpowiadamy „jestem”, wyrażające całe nasze życie.

relację. „Zjeść z kimś beczkę soli” oznacza mieć wiele okazji do poznania, kim ten ktoś rzeczywiście jest. Dobrze przeżywane *Ćwiczenia duchowne* są właśnie tego typu doświadczeniem. Wytwarzają atmosferę zaufania, które otwiera nas na głębszą rozmowę z Bogiem. Taką rozmowę, której nie potrzebne są żadne szczególne słowa. Dla mnie najodpowiedniejszym tego obrazem jest fragment filmu Akira Kurosawy *Sierpniowa rapsodia*. W pewnym momencie do domu starszej kobiety przychodzi jej przyjaciółka. Nie widziały się ze sobą od dłuższego czasu. Całe spotkanie upływa im na wpatrywaniu się w twarz drugiej. Świadcami tego wydarzenia są wnuczki tej pierwszej. W taki sposób wyobrażam sobie, przeczuwam komunie z Bogiem, do której prowadzi książeczka spisana przez Ojca Ignacego.

Zobacz: www.rekolekcje.vel.pl

DO SZCZYTU WCIĄŻ JESZCZE DALEKO NA SZCZĘŚCIE Z KAŻDYM KROKIEM POD GÓRĘ PERSPEKTYWA CORAZ SZERSZA I CORAZ PIĘKNIEJSZE WIDOKI...

W Danii

sch. Krzysztof Augustyniak SJ



Tematem bieżącego numeru naszego pisma są pasje jezuitów. Czym dla mnie jest pasja? To nie tylko zainteresowania, nie tylko coś, co mnie inspiruje, czy co lubię. Dla mnie pasja to coś, co pozwala mi na nowo doświadczyć tego, że żyję. Pasja to dla mnie miejsce, w którym mogę jednocześnie dotknąć swojego człowieczeństwa i spotkać się z Tym, który to człowieczeństwo ukształtował. Dlatego pasja to nie tylko hobby, to coś znacznie więcej. Gdy ktoś pyta o moją pasję, bez wahania odpowiadam: góry. „Zrobiłem” ich trochę w swoim życiu. Nie czas, żeby się tym chwalić. W każdym razie zawsze było to dla mnie miejsce, gdzie mogłem po prostu być. Nigdzie nie czułem się tak człowiekiem, jak w górach. Nie znaczy to: przyjemnie, czy miło; nie zawsze. Góry pomagają mi poczuć swoje ciało, dają okazję do wglądu

w siebie... Jednocześnie, stojąc gdzieś na kilku tysiącach, ma się wrażenie, że słowa o biblijnych górach to nie jakaś czcza gadanina albo poezja. I nie jest to kwestia nostalgii, czy jakiegoś poetyckiego nastroju, o który, po nieraz sporym wysiłku, raczej trudno. Trzeba powiedzieć krótko: Bóg jest w górach i do niektórych osób zapragnął tam szczególnie przemawiać.

Miniony 2007 rok był dla mnie rokiem przeprowadzki do nowego miejsca, gdzie miałem rozpocząć magisterkę, czyli jezuicką praktykę między studiami filozofii i teologii. Około maja zastała mnie wiadomość, że krajem mojego przeznaczenia będzie Dania. I tak jako ostatni z opuszczających krakowski pokład, zdążywszy jeszcze „odwiedzić” odkładaną przez kilkanaście miesięcy na deser czołtówkę Mięgusza, udałem się do Kopenhagi.

Dania to wybitnie niegórzysty kraj. Jednak już wkrótce po przyjeździe do nowego miejsca po raz kolejny uświadomiłem sobie, że prawdziwe góry zdobywa się bez wyprawowego szpeju, a niejednokrotnie i w zupełnie płaskim krajobrazie. Następnego dnia po przyjeździe do kopenhaskiej wspólnoty jezuitów rozpocząłem kurs duńskiego. Pierwsze podejście, nic. Duńczycy próbują swój język porównywać do innych. Gramatycznie podobny, a jednak gdy słyszany na ulicy przypomina odgłosy bardziej rodem ze zwierzęcego niż ludzkiego świata. Pierwsze próby wymawiania dziesiątek odmian samogłosek. Nie brakuje tlenu, ale gardło odmawia posłuszeństwa.

W Krakowie było nas we wspólnocie jak dobrze pamiętam około sześćdziesięciu. Teraz jest nas trzech. Drugie podejście. Ile czasu spędziliśmy w Krakowie narzekając na kuchnię, jeden Pan Bóg wie. Tutaj nie mamy tego problemu - „gotujemy” sami. Piszę w cudzysłowie, bo moje wyczyny chyba trudno nazwać gotowaniem. Całe szczęście, współbracia rekompensują moje braki. To, że jest nas trzech oznacza także, że często nie jest nas trzech. Kolejne podejście. Stromo. Trochę trudno przestawić się z trybu wspólnotowego na bardziej indywidualny. Ale nie indywidualistyczny. Komunikacja raczej dobra, każdy wie, co robi inny, gdzie jest, może kiedy ląduje jego samolot, albo kiedy ma pociąg. Jak możemy - jesteśmy razem. Kiedy jest nas tylko kilku, trochę jakby realniejsze wydają się słowa o miłowaniu bliźniego takiego, jakim jest.

Co robi scholastyk na magisterce w Kopenhadze? Szczerze mówiąc kulawy język nie na wiele mi pozwala. Większość bardzo dobrze mówi tutaj po angielsku. Kiedy jednak ja zaczynam mówić w obcym bądź co bądź dla obu stron języku, mam poczucie bycia jakby trochę nie fair... Dlatego moje zaangażowanie ogranicza się narazie do prac nieco mniej wymagających pod względem językowym. Dwa popołudnia w tygodniu spędzam z dziećmi przychodzącymi do nas po lekcjach by coś zjeść, odpocząć, pogadać. Nasza szkoła mieści się w dość

sporym budynku dawnego klasztoru. Tutaj też mieszka wspólnota. Jednym z naturalnych pytań dzieci jest więc: „i co, mieszkaasz w szkole?!”. Kiedyś dwie dziewczynki założyły się o podobne pytanie. Kiedy się spotkaliśmy i otrzymały pozytywną odpowiedź, jedna z triumfem stwierdziła: mówiłam ci, że on śpi w kościele! Najsympatyczniejsza była chyba jednak sytuacja, gdy jeden z chłopców stojąc w kościele przed figurą Franciszka Ksawerego spytał z pełną powagą w głosie: „czy to twój przodek?”.

Nasi uczniowie to najczęściej protestanci, jak większość Duńczyków. Ale katolicki charakter szkoły (jest to jedyne katolickie liceum w Skandynawii, Finlandii i Islandii) przyciąga też „wielu” katolików. Dwa razy w tygodniu mamy Mszę św. w kaplicy domowej, a raz w miesiącu w szkolnym kościele. Poza tym każda klasa ma obowiązkowe rekolekcje raz do roku, co razem daje nam cotygodniową dobę z młodzieżą, która u nas śpi, je, modli się - jednym słowem „formuje się”.

Jacy są Duńczycy? Trudno na to pytanie odpowiedzieć po trzech miesiącach pobytu tutaj. Trochę podobni do Włochów - leniwi, powolni, nieskorzy do pracy... Z drugiej strony to mimo wszystko naród północy, więc nieco bardziej powściągliwy. Gdy przyjechałem, przyjęła mnie jednak otwartość i naturalność. Rodacy Andersena mają w sobie dużo zdrowego zdaje się „luzu” w podejściu do życia. Patrząc z boku na społeczeństwo duńskie, trudno domyślić się, że to najstarsza, nieprzerwanie funkcjonująca monarchia świata. Gdy piszę te słowa jeszcze nieco ponad tydzień do Świąt. Tłumy ludzi w sklepach, na ulicach... Jak i u nas. Ale coś jednak inaczej. Pomódlcie się proszę, choć chwilę za tych, którzy nie zostawią u siebie pustego miejsca przy stole, w domu, w życiu... Dla tego Jedynego nieznanego Gościa.

Dopiero, i już trzy miesiące, jak jestem w Danii. Do szczytu wciąż jeszcze daleko. Na szczęście z każdym krokiem pod górę perspektywa coraz szersza i coraz piękniejsze widoki...

Kompetentni, otwarci, odpowiedzialni

o. Krystian Sowa SJ



Firma poszukuje młodych inżynierów posiadających zarazem doświadczenie zawodowe. Warunki niemożliwe do spełnienia? Polscy jezuita wraz z partnerami z francuskiej Grupy ICAM (Institut Catholique d'Arts et Métiers) postanowili wyjść naprzeciw tym oczekiwaniom.

Pomysł

Na początku było spotkanie. Kilka spotkań. Z młodymi inżynierami dzielącymi się trudnym doświadczeniem szukania pierwszej pracy (Nikt nas nie chce, bo nie mamy doświadczenia zawodowego). Z szefami francuskich przedsiębiorstw w Polsce, zatrudniających tychże młodych ludzi (Polscy absolwenci są znakomicie wykształceni teoretycznie, praktycznie jednak często nie potrafią się odnaleźć w firmie). W wyniku tych spotkań zrodził się następujący pomysł: zorganizujemy kurs, który przygotowuje młodych absolwentów do podjęcia wyzwań związanych z pracą inżyniera na stanowisku kierowniczym. Kurs, który pomoże przedsiębiorstwu przygotować swoje przyszłe kadry.

Francuskie doświadczenia...

Inspiracja przyszła z Francji. Ponad sto lat temu tamtejsi przemysłowcy poprosili jezuitów, znanych z dużego doświadczenia w dziedzinie edukacji, o pomoc w założeniu szkoły wyższej dla inżynierów. Tak powstała pierwsza Szkoła ICAM w Lille. Dziś Grupa ICAM prowadzi osiem takich szkół, a jej inżynierowie są rozchwytywani przez przedsiębiorstwa.

Czym przekonuje do siebie ICAM? Kształci tzw. inżynierów ogólnych, profil ten daje dużą elastyczność na rynku pracy. Integru-

je w procesie kształcenia wiedzę techniczną i umiejętności z zakresu zarządzania. Przede wszystkim jednak kształci w sposób praktyczny, w ścisłej współpracy z zakładami przemysłowymi. Ważny rys ICAM stanowi inspiracja płynąca z pedagogii jezuickiej: dążenie do całościowego rozwoju osobowego studenta. ICAM, będąc szkołą otwartą dla wszystkich, nie ukrywa, skąd czerpie swoje inspiracje. W misji ICAM czytamy: Szanując osobiste przekonania oraz będąc otwartym na każdego, dokonujemy naszych wyborów instytucjonalnych i pedagogicznych w odniesieniu do Jezusa Chrystusa. Uczy On nas patrzeć z zaufaniem na świat, a równocześnie pobudza w pragnieniu budowania świata bardziej sprawiedliwego i braterskiego. Jego życie uczy, że każda osoba jest powołana do twórczej, odpowiedzialnej i solidarnej wolności.

... i polskie początki

Grupa ICAM przed kilku laty nawiązała kontakty z Polską, zarówno ze światem polskich uczelni technicznych, jak i światem przedsiębiorstw. Owocem współpracy z jezuitami jest powstanie z końcem roku 2004 w Gliwicach Fundacji Edukacji Technicznej, a następnie, z początkiem roku 2006, rozpoczęcie podyplomowego kursu dla inżynierów łączącego pracę i naukę. Kurs ten, jako że organizowany na Śląsku i przeznaczony dla młodych ludzi rozpoczynających karierę zawodową – nazwany został Silesianum - Professional.

Kurs trwa rok. Okresy pracy w przedsiębiorstwach przeplatają się z okresami nauki w centrum kształcenia. Silesianum - Professional prowadzony jest w małych



fot. archiwum Silesianum

Większość zajęć to warsztaty, seminaria i gry symulacyjne.

grupach, w celu zapewnienia każdemu z uczestników indywidualnego towarzyszenia w jego rozwoju zawodowym. Szkolenia i warsztaty prowadzone są przez francuskich wykładowców ICAM oraz przez polskich wykładowców i szkoleniowców posiadających doświadczenie przemysłowe.

Chrześcijański duch

Nowością jest praktyczny aspekt kształcenia. Spędziwszy większość rocznego kursu w zakładzie pracy, uczestnik kończący Silesianum – Professional posiada już upracjonowane doświadczenie zawodowe. W wielu przypadkach przedsiębiorstwa proponują uczestnikom stałą pracę po ukończeniu kursu, widząc w uczestnikach swoje przyszłe kadry. Inna nowość to oparcie się na modelu pedagogii wykształconej w ciągu stuleci przez jezuitów, pedagogii zakładającej otwarcie na świat, opartej na wolności, odpowiedzialności i solidarności. Chodzi o integralne kształcenie całego człowieka, nie tylko jego sfery intelektualnej, ale także emocjonalnej i duchowej. Chodzi o wychowanie zarówno na kwestie techniczne, jak i ekonomiczne czy społeczne.

W perspektywie Szkoła Wyższa

Właśnie rozpoczęła się czwarta edycja Silesianum – Professional. Siedemnastu młodych ludzi z całej Polski, wybranych spośród dużo większej grupy kandydatów, rozpoczęło swoją przygodę w świecie przedsiębiorstw. Ze strony jezuitów, w projekt „na pełny etat” zaangażowanych jest dwóch współpracowników: Daniel Michalski i Krystian Sowa.

W niedalekiej przyszłości, we współpracy z jedną z wyższych uczelni, planujemy otwarcie – dla kandydatów już nie po studiach, ale po maturze – kierunku studiów technicznych, inspirowanego ponad stuletnim doświadczeniem ICAM, oraz niemal pięćsetletnią tradycją jezuitów w dziedzinie edukacji. Aby przyszli inżynierowie byli źródłem dobrych zmian w swoim środowisku. Aby jako liderzy byli „ludźmi dla innych”. By, prócz wysokich kompetencji zawodowych, byli otwarci i wrażliwi na drugiego człowieka.

Szczegółowe informacje na stronie:
www.silesianum.pl



fot. archiwum Silesianum

Uczestnicy Silesianum są jednocześnie pracownikami przedsiębiorstw.

MAGIS - JEZUICKIE DUSZPASTERSTWO MŁODZIEŻOWE, KTÓRE ZACZYNA BYĆ RUCHEM MŁODZIEŻOWYM W POLSKIM KOŚCIELE

Magis - oznacza coraz więcej

sch. Jacek Olczyk SJ

MAGIS to jedno ze słów-kluczy naszej jezuickiej duchowości. Od kilku lat nabiera też nowego znaczenia. MAGIS to jezuickie duszpasterstwo młodzieżowe, które zaczyna być ruchem młodzieżowym w polskim Kościele. Ilu jest magisowiczów, dokładnie nie wiemy, ale na cotygodniowych spotkaniach formacyjnych w naszych ośrodkach w Krakowie, Kłodzku, Opolu, Bytomiu, Starej Wsi, Gdyni, Gdańsku, Czechowicach-Dziedzicach, Piotrkowie Trybunalskim, Gliwicach, Szczecinie, Nowym Sączu i Wrocławiu spotyka się około 500 osób.

Za całe to MAGISowe zamieszanie odpowiedzialność ponosi kilku jezuitów, a szczególnie o. Andrzej Migacz SJ. Oto jego wspomnienie o początkach MAGIS:

„Pomysł stworzenia pewnej propozycji formacyjnej dla młodzieży chodził po głowach nam, młodym jezuitom, już od dawna. Wzięło się to chyba z jakiegoś niedosytu,

bo mieliśmy wrażenie, że z jednej strony tyle otrzymaliśmy od zakonu, a z drugiej strony tak mało się tym dzielimy z innymi. Najpierw były długie, emocjonujące, ale też bardzo owocne dyskusje nad kształtem jezuickiej formacji dla młodzieży z o. Maciejem Szczęsnym SJ, odpowiedzialnym za wspólnotę oazową w Kłodzku i z o. Krzyszkiem Bielem SJ. W tym czasie spotkałem się też z wszystkimi duszpasterzami młodzieżowymi w naszej Prowincji przedstawiając ideę tej propozycji. Większość przyjęła tę ideę pozytywnie. Kolejnym ważnym krokiem było spotkanie się z animatorami jeszcze wtedy Oazy w Kłodzku, którzy na naszą propozycję odpowiedzieli z entuzjazmem. Co więcej, to ci młodzi ludzie popchnęli nas dalej niż sami początkowo planowaliśmy dojść. My nie chcieliśmy zaczynać wszystkiego od początku. Pierwotnie formacja MAGIS miała być skierowana do ludzi, którzy mieli już kontakt ze wspólno-



tami w Kościele. Chcieliśmy skupić się na MAGIS, czyli czymś więcej, czymś bardziej, chcieliśmy dodać więcej duchowości ignacjańskiej do istniejących już form pracy z młodzieżą. Ale młodzi pokazali nam coś innego, zrozumieliśmy, że MAGIS wymaga rozpoczęcia wszystkiego od podstaw. Jest jeszcze jedna ważna rzecz, gdy rozmawiamy o początkach, a mianowicie nazwa. Zanim jeszcze miało miejsce to znaczące spotkanie w Kłodzku, w Krakowie powstała mała grupa licealistów, która zaczęła się regularnie spotykać. Miałem zaszczyt być duszpasterzem tej liczącej z początku zaledwie cztery osoby grupki. To właśnie oni nazwali się WSPÓLNOTĄ MAGIS, i to właśnie ta nazwa chwyciła i przyjęła się dla całej formacji. Prócz Kłodzka i Krakowa od razu do MAGIS włączyli się też młodzi z Wrocławia z o. Staszkiem Tabisiem SJ, inne wspólnoty dołączały później.

Dziś odpowiedzialnym za MAGIS w prowincji jest o. Paweł Brożyniak SJ. Do jego zadań należy odwiedzanie młodych i rozmawianie z nimi w ich wspólnotach lokalnych, przyglądanie się jak się te grupy rozwijają i jak rozwija się cały MAGIS. Oto kilka słów o. Pawła o naszym ruchu:

„Patrząc na MAGIS jakby z lotu ptaka, widzę, że dla młodego człowieka jest bardzo ważne odnalezienie się we wspólnocie rówieśników, a MAGIS jest taką wspólnotą, w której znajdują oni przestrzeń do spotkania się, porozmawiania o sprawach najbardziej istotnych dla ich życia – także o sprawach duchowych. MAGIS daje szansę głębokich osobowych relacji, przyjaźni z rówieśnikami, ale też i z Bogiem – w tym pomocne są elementy duchowości ignacjańskiej systematycznie wprowadzane na poszczególnych etapach formacji. Wreszcie MAGIS często daje możliwość rozwijania osobistych talentów: w Opolu i Nowym Sączu są grupy teatralne, w kilku ośrodkach powstały zespoły muzyczne (m.in. w Krakowie, Kłodzku, Nowym Sączu czy Wrocławiu), młodzi inspirują się nawzajem i zamieszczają swoją twórczość w Internecie (prawie każda wspólnota ma stronę

internetową, sądecki MAGIS ma portal: www.wyjsciedwa.pl). Patrząc w przyszłość, MAGIS chce dać młodym konkretny obraz człowieka-chrześcijanina, który będą oni mogli wcielać we własne życie. Dlatego wybraliśmy św. Stanisława Kostkę, wielkiego Polaka i młodego jezuitę, chyba najbardziej znanego w całym Towarzystwie Jezusowym. Staszek to rówieśnik magisowiczów. Kilkunastoletni chłopak, który odkrył Boże zamiary co do swego życia. Zgodził się na te zamiary, uczynił je swoimi i z całą konsekwencją i determinacją zaczął je odważnie realizować. Dziełnie pokonywał przeszkody, które pojawiały się na jego drodze. To najlepszy patron dla młodych na dzisiejsze czasy. W przyszłym roku [2008] podczas V Ignacjańskich Dni Młodzieży w Starej Wsi uroczystie ogłosimy Staszka Kostkę patronem MAGIS, ale naszym celem są najbliższe lata i rok 2018, który pragniemy, aby był wielkim, ogólnopolskim świętowaniem 450 rocznicy Jego śmierci.”

Spojrzelśmy wstecz z perspektywy założyciela MAGIS, spojrzeliśmy też w przyszłość okiem odpowiedzialnego za MAGIS, a teraz trochę o tym, czym ten ruch jest w oczach młodego, studiującego filozofię jezuitę, dla którego jest to pierwsza po nowicjacie misja apostołska.

Oto kilka obrazów, które rodzą się we mnie, gdy myślę nad tym, co wydarzyło się przez ostatni rok, odkąd wszedłem w krakowską wspólnotę. Moje doświadczenie wzbogacone jest udziałem w rekolekcjach wakacyjnych w Brzeźnej, na których, oprócz krakowskich, spotkałem też magisowiczów z Kłodzka, Wrocławia i Gliwic oraz odwiedzinami w kilku ośrodkach, gdzie podpatrzyłem trochę, jak MAGIS funkcjonuje lokalnie.

Sprawia mi dużo radości, gdy obserwuję, jak magisowicze dojrzewają. Formacja w MAGIS, oprócz duchowego, ma też wymiar ludzki. Będąc w MAGIS coś czasem trzeba przygotować, wypowiedzieć się na forum małej grupy lub całej wspólnoty, niekiedy trzeba podjąć jakąś akcję małą



fot. P. Brozymak SJ

Spotkanie moderatorów, wrzesień 2007, Opole.

grupą formacyjną lub całą wspólnotą. Wtedy można zauważyć jak młodzi „łapią wiatr w żagle” i okazuje się, że choć nie raz nie wierzą we własne siły, to jednak zdolni są zrobić wspaniałe rzeczy. Ich rozwój i dojrzewanie można zauważyć w małych sprawach. Ktoś np. miał kłopot z zaprezentowaniem czegoś na forum publicznym, a w pewnym momencie bez większego skrępowania prowadzi jakąś zabawę lub dzieli się własnym doświadczeniem na forum całej wspólnoty. Mam głębokie przekonanie, że to, co młodzi podejmują w MAGIS, owocuje potem w pozostałych wymiarach ich życia. Maturalna prezentacja nie będzie taka straszna dla człowieka, który nie raz zabierał głos przed całą wspólnotą. Konieczność współpracy z innymi w życiu zawodowym prawdopodobnie okaże się łatwiejsza dla kogoś, kto jako nastolatek wychowywał się przez pracę w grupie. To są konkretne umiejętności, które magisowicze zdobywają w trakcie naszej formacji.

Niestety, nieraz okazuje się, że sytuacja rodzinna ludzi z naszych wspólnot nie jest łatwa, czasem rozmawiam z młodymi o tym, że koledzy ze szkoły czy z osiedla po prostu ciągną ich w dół. Z tej perspektywy magisowa salka staje się miejscem, w którym można odpocząć, spokojnie się pouczyć, bywa miejscem, w którym zwyczajnie nie

jest się atakowanym, gdzie można poczuć się bezpiecznie, a ludzie z grupy stają się po-wiernikami zarówno radości, jak i trudności.

Jest jeszcze przestrzeń Ducha. Momentem, w którym najwyraźniej zobaczyłem duchowy wymiar tego, co daje MAGIS, były wakacyjne rekolekcje, a na nich nabożeństwa, podczas których ojcowie spowiadali, a ze mną, jako że nie mam święceń, można było po prostu porozmawiać. Wtedy bezpośrednio spotkałem się z duchowymi potrzebami i zmaganiem młodych. Ze zdumieniem przyglądałem się obecnemu w nich pragnieniu Boga i determinacji, z jaką poszukiwali Jego łaski. Te rozmowy dały mi przedsmak kapłaństwa.

Ostatnia migawka z MAGIS to spotkanie moderatorów, które odbyło się we wrześniu 2007 roku w Opolu. Dużo było tam pracy, dużo rozmów, czasem niemal kłótni. Patrzyłem tam na starszych współpracowników, którzy są autentycznie zaangażowani po stronie młodzieży. Mało jeszcze znam Towarzystwo Jezusowe, ale wydaje mi się, że tak konkretna współpraca prawie 20 jezuitów na polu duszpasterskim to jednak w naszym zakonie wydarzenie dość rzadko spotykane. Wdzięczny więc jestem Bogu za mój udział w MAGIS już na początku mojej zakonnej drogi.

Nie chodzę tu jakiś smutny i przygnębiony. Jestem takim samym urwisem, jakim byłem dawniej...

Ks. Kard. Adam Kozłowiecki SJ

sch. Maciej Hamczyk SJ

W piątek, 5 października 2007 roku pożegnano w Lusace w Zambii śp. kard. Adama Kozłowieckiego. Jego odejście zasmuciło wielu ludzi, nie tylko jezuitów czy wspólnotę lokalnego Kościoła, ale chyba wszystkich, którzy kiedykolwiek spotkali się z nim. Ten wielki misjonarz, biskup i kardynał, choć przeżył w młodości prawdziwą gehennę doświadczając okropieństw drugiej wojny światowej, zachował poczucie humoru, jakim nieliczni mogliby się poszczycić, a szlacheckie pochodzenie nie przeszkodziło mu w poświęceniu się dla dobra mieszkańców Czarnego Łądu.

„Urodziłem się w prima aprilis 1911 roku jako poddany cesarza Franciszka Józefa w Austro-Węgrzech” - tak sam Adam Kozłowiecki podkreślał, jak data urodzin odcisnęła piętno na jego osobowości. Przyszedł na świat w Hucie Komorowskiej koło Kolbuszowej, w rodzinnym majątku. Uczęszczał do słynnej na całą II Rzeczypospolitą jezuickiej szkoły w Chyrowie (dziś Ukraina), ale gdy przypadkiem wygadał się ojcu, że zamierza wstąpić do zakonu, ten przeniósł chłopaka na drugi koniec kraju - do gimnazjum w Poznaniu, aby wybić mu „głupie myśli” z głowy. Żadne zabiegi nie dały jednak zamierzonego rezultatu i gdy Adam wstąpił do Towarzystwa w 1929 r., ojciec kazał mu podpisać w sądzie akt zrzeczenia się praw spadkowych, a nawet na kilka lat przestał z nim rozmawiać. W końcu pogodził się z decyzją syna i mówił nawet: „Adaś jest bardzo mądry. Jak jezuita nie zrobią go generałem, to są durnie!” Po studiach w Krakowie i Warszawie Kozłowiecki otrzymał święcenia kapłańskie z rąk bp. Karola Niemiry w 1937 r.

Wojna zastała go w Chyrowie - w szkole, w której sam niegdyś się uczył. Gdy wschodnią granicę Rzeczypospolitej przekroczyli Sowieci, wyjechał do Krakowa. Tam, w jezuickim kolegium, 10 listopada został aresztowany przez Gestapo razem z 24 współbraćmi poniżej 60 roku życia. Zakonnicy zostali przewiezieni do więzienia przy ul. Montelupich, a później do Wiśnicza. Wtedy zaczęła się dla ojca Adama straszna droga przez nazistowską machinę zagłady. Pół roku później w jednym z pierwszych transportów trafił do obozu w Auschwitz, a w grudniu 1940 roku do Dachau, który opuścił przed samą kapitulacją Trzeciej Rzeszy. Swoje doświadczenia z życia w obozach koncentracyjnych opisał w wydanej przez WAM książce: „*Ucisk i strapienie. Pamiętnik więźnia 1939-1945*”. Koniec tych mrocznych lat nastąpił 29 kwietnia 1945 roku wraz z wkroczeniem do obozu wojsk amerykańskich. Kozłowiecki po latach żartował nawet z tego okresu swojego życia, mówiąc o „studiach na zaproszenie Adolfa Hitlera”, a obóz w Dachau, porównując z Oświęcimiem, określał „sanatorium”.

Po odzyskaniu wolności udał się do jezuickiego kolegium w Pullach. Miał nadzieję, że wróci wreszcie do Polski, ale pojawiła się potrzeba duszpasterska na polskiej misji w Rodezji Północnej, czyli dzisiejszej Zambii. Wolność okazała się nie mieć tak słodkiego smaku, o jakim Kozłowiecki mógł marzyć przez lata niewoli. W jednym z listów pisał: „*Nie będę mógł pracować wśród ukochanych murów zakładu chyrowskiego, nad młodzieżą, którą naprawdę gorąco kochałem. Wszystko, co mi tu na ziemi było tak drogie, jest już bezpo-*



Foto: z archiwum O. L. Grzebielna SJ

Ks. KARDYNAŁ ADAM KOZŁOWIECKI SJ
(1911 - 2007)

wrotnie daleko i właściwie mi o tym nawet marzyć nie wolno. Owszem, oddaję to Bogu, ale mi wstyd, że oddaję z sercem tak ciężkim. Zresztą, niech ojciec nie myśli, że chodzę tu jakiś smutny i przygnębiony. Nie, ojczyste! Jestem takim samym urwisem, jakim byłem dawniej. Nikt jednak tutaj nie wie, jak ciężko mi na sercu. Wszyscy myślą, że jadę do Afryki z wielką radością, a przynajmniej ochoczo". Przed wyjazdem na Czarny Ląd złożył w Rzymie ostatnie

śluby i 14 kwietnia 1946 roku przybył do Rodezji Północnej.

Na miejscu zastał sytuację daleką od ideału. Polska misja, bez kontaktu z krajem przez lata wojny, raczej trwała niż działała. Struktury misji leżały w gruzach, brakowało ludzi do pracy, trzeba było wszystko budować niemal od podstaw. Ojciec Adam zaczął więc odnawiać kontakty z wioskami, które już dawno nie widziały księdza, budował

kaplice, zakładał szkoły, sprowadzał nowych misjonarzy i nowe zgromadzenia zakonne. Zaczął budowę kościoła przy stacji misyjnej w Kasisi, której w 1948 roku został przełożonym. Okazał się tak dobrym administratorem, że gdy w 1950 r. Watykan podniósł prefekturę Lusaki do rangi wikariatu apostolskiego, to właśnie on stanął na jego czele. Pięć lat później został wyświęcony przez Piusa XII na pierwszego biskupa Lusaki, a w 1959 roku, gdy Jan XXIII utworzył w Rodezji już pełną strukturę kościelną, biskup Adam został arcybiskupem metropolita. Godności kościelne nie zmieniły zbytnio trybu jego pracy, wciąż dużo czasu spędzał „w terenie”, wśród ludzi. W jednym z wywiadów żartował, że miał świetne kwalifikacje na biskupa: „żadnego przygotowania i sześć lat kryminału”.

Jako misjonarz, a potem biskup, Kozłowiecki uważał za niezmiernie ważne te problemy, z którymi borykały się wszystkie kolonie: równość rasowa i dekolonizacja. W 1956 r. nakazał przyjąć hinduską dziewczynę do szkoły dla białych prowadzoną przez siostry dominikanki, a gdy czarny biskup nie został wpuszczony do porządnego hotelu (bo też był tylko dla białych), powiadomił prasę, co nadało sprawie międzynarodowy rozgłos. Kozłowiecki popierał też udział lokalnych mieszkańców w rządach krajem, czego dowód dawał w listach pasterskich i pracach nad dokumentami episkopatu. Z pewnością działania Kościoła przyczyniły się do powstania niepodległego państwa zambijskiego 24 października 1964 r.

Kiedy Rodezja Północna przestała być brytyjską kolonią i stała się niezależną Zambią, arcybiskup uznał za słuszne oddać rządy w metropolii miejscowemu hierarsze. Zaczął więc co roku słać do Watykanu swoje rezygnacje. Podobno mówił też, że z urzędu powinno się ustępować wówczas, gdy się jeszcze dostrzeżga, że należy ustąpić. „Za chwilę można stracić tego świadomość”. Ostatecznie jego rezygnację przyjęto w 1969 roku. Nowym arcybiskupem został Emmanuel Milingo, a ojciec Kozłowiecki wrócił do „pełnoetatowej” pracy misyjnej.

Prawie 30 lat później, 21 lutego 1998 roku, Jan Paweł II wyniósł Adama Kozłowieckiego do godności kardynalskiej. Ten dziękując, napisał do Papieża: „Wyznam Ci, Ojciec Święty, że byłem tą wiadomością zupełnie oszołomiony, trudno mi było to zrozumieć i myśli jakoś pozbierać, bo przecie w 87 roku życia innymi sprawami były raczej zajęte. Z ucałowaniem jednak ręki i stóp Waszej Świątobliwości, z głębką wdzięcznością przyjmuję ten znak zaufania, a przede wszystkim jako znak uznania dla każdego prostego misjonarza służącego z woli Bożej Kościołowi oraz biednym, a nie znającym Ojca, braciom i siostram. Nauczono mnie, co to znaczy być zakonnikiem-jezuity, nauczono mnie potem, co to znaczy być kapłanem, a teraz muszę się nauczyć jeszcze, co to znaczy być kardynałem, bo tego mnie nie nauczono”. Później rozmawiając z Janem Pawłem II powiedział, że mianował go tak późno, żeby nie mógł brać udziału w konklawe. „Mogłem sobie na to pozwolić, bo byłem od niego starszy o 9 lat i nie przewidywałem, że to on pierwszy odejdzie z tego świata. Ojciec Święty mi odpowiedział: „I o to chodziło”, więc dodałem: „Ale za to mogę zostać wybrany”. I wtedy papież roześmiał się i powiedział: „Nie martw się, to niemożliwe”. W związku z nominacją miała miejsce jeszcze jedna zabawna sytuacja: Jadąc na konsystorz do Rzymu, Kozłowiecki zapomniał kupić czerwonych skarpetek. Nie przejął się tym jednak, mówiąc swojemu kierowcy, że w buszu i tak się nie przydadzą.

Humor kard. Kozłowieckiego określa się nieraz mianem „legendarnego”. Jak sam kardynał mówił, poczucie humoru bardzo przydawało się w pracy z Zambijczykami. Nie można było zaczynać rozmowy od poważnych spraw, tylko najpierw ich rozśmieszyć, zabawić, a potem przejść do sedna. Kiedy opatrywał pewnemu chłopcu ropiejące rany, na które trudno było patrzeć, mówił z uśmiechem, że nauczył się tego na wczasach w Dachau. Żartował nawet ze swojej śmierci. Zapraszał wszystkich na swój pogrzeb, mówiąc: „Przyjdźcie, na pewno będzie ładnie”. Miał rację.

Z GOTYKIEJ ŚWIĄTYNI PO 350 LATACH PRAC JEZUICI STWORZYLI PRZEPIĘKNY BAROKOWY KOŚCIÓŁ, KTÓRY URZEKA WIELOŚCIĄ FORM

Jezuicka perła Śląska

sch. Bartłomiej Przepeluk SJ

Historia

Prace nad budową kościoła rozpoczęli joannici, sprowadzeni do Kłodzka w 1194r. z inicjatywy biskupa praskiego. Pierwotnie opiekowali się na tym miejscu niewielkim kościółkiem Matki Boskiej. Pierwsze wzmianki o położeniu kamienia węgielnego pod budowę świątyni pochodzą z roku 1344, jednakże właściwa budowa rozpoczęła się dopiero po śmierci głównego fundatora kościoła, pierwszego arcybiskupa Pragi Arnosza z Pardubic, w roku 1364. Do budowy użyto piaskowca wydobywanego w pobliskiej Czerwonej Górze i Radkowie. Kolejno wzniesiono wieże: południową zwaną Białą i północną zwaną Czarną, wewnątrz której zawieszono największy dzwon (4,5 tony). Następnie wokół kościoła postawiono bogato zdobione kaplice i zakrystię. Do roku 1555 ukończono prace nad sklepieniem sieciowym, wieńczącym nawę główną. W latach 1562-1623 większą część kościoła przejęli protestanci, którzy w tym czasie zdobywali coraz większe wpływy.

Kościół został odzyskany przez katolików w roku 1624, kiedy to niedawno przybyłym do miasta jezuitom udaje się wykupić świątynię od joannitów. Jezuiti zamienili surowe gotyckie wnętrze na modny wówczas styl barokowy. Pierwszy etap prac polegał m.in. na wymianie starej posadzki, wzniesieniu empor ulokowanych nad sklepieniami naw bocznych oraz dobudowaniu północnej kaplicy zwanej Kaplicą Zmarłych.

Ostatecznie, po trwających przeszło 350 lat pracach, możemy podziwiać najstarszą w Kłodzku trzynawową świątynię z siedmioma przęsłami, trzema apsydami i dwo-

ma imponującymi wieżami. W swej długości dochodzi do 62 metrów, zaś jej szerokość wynosi 44,5 metra. Nie bez przyczyny po dziś dzień nazywana jest przez kłodzchan katedrą, albowiem, biorąc pod uwagę same rozmiary, zalicza się ją do największych obiektów sakralnych Ziemi Kłodzkiej.

Wystrój wnętrza

W świątyni dominuje barok. Co ciekawe, został on tak subtelnie wkomponowany w gotycką bryłę i pierwotny wystrój, że zdaje się być obecny już od samego początku jej istnienia. Ściany i filary naw przyozdabiają liczne obrazy przedstawiające pierwszych jezuickich świętych oraz imponujące, pełne ekspresji rzeźby wykonane w większości przez mistrza Michała Klahra Starszego, przedstawiciela baroku śląskiego. Jemu też przypisuje się ambonę, konfesjonały i rozmaite detale, m.in. dekoracje prospektu organowego.

Ołtarz główny

Odnacza się niezwykle bogactwem form. Zaprojektowany został przez jezuitę Krzysztofa Taucha, a wykonany przez artystów wrocławskich w latach 1728-1729, głównie z marmuru, stiuków i drewna. Centralną część ołtarza zajmuje XV-wieczna gotycka figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem wyrzeźbiona z drewna lipowego. Figurę w otoczeniu aniołów ozdobiono promienistą glorią i umieszczono pod bogato zdobionym baldachimem. Po bokach ołtarza zamieszczono majestatyczne figury św. Jana Chrzciciela i św. Piotra wskazujących na Matkę Boską. U szczytu ołtarza umieszczono wyobrażenie chwały niebie-



Nawa główna i ołtarz jezuitskiego kościoła w Klodzku.

skiej, w której Bóg Ojciec spogląda na świat. Nad całością unosi się gołębicą Ducha Świętego i krzyż trzymany przez parę aniołów.

Nagrobek Arnoszta z Pardubic

Nagrobek wykonano pod koniec XIV wieku w białym wapieniu. Przedstawia postać arcybiskupa spoczywającą na tumbie wykonanej z czerwonego marmuru. Legenda mówi, że nagrobek rozpadł się w niewytłumaczalny sposób 100 lat po śmierci fundatora świątyni, co rzekomo on sam przepowiedział, a przez pewien czas wyciekała z niego substancja posiadająca właściwości uzdrawiające. Pierwotnie sarkofag zasłaniał wejście do krypty znajdującej się w nawie głównej kościoła. Dziś znajduje się on w nawie północnej, a jego miejsce zajął nowy nagrobek z białego marmuru, wykonany w latach 1828-1875 przez Jana Jandę. Przedstawia on klęczącego Arnoszta w szatach pontyfikalnych, który, zwrócony w stronę ołtarza głównego, kontempluje figurę Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

Ambona

Wykonał ją wspomniany już mistrz Michał Klahr Starszy w roku 1717. Swą ideą nawiązuje do ewangelicznej sceny Przemienienia Pańskiego na Górze Tabor. Baldachim przedstawia przemienionego Chrystusa w towarzystwie Mojżesza i Eliasza, którym przypatrują się zdziwieni apostołowie, całą zaś scenę otaczają figury czterech apostołów. Kosz ambony wsparto na głowie figury św. Pawła Apostoła trzymającego w swych rękach miecz i księgę. Zdobią go m.in. cztery niewielkie, lecz misternie wyrzeźbione figurki świętych doktorów Kościoła: Hieronima, Augustyna, Grzegorza i Ambrożego. W balustradzie prowadzącej na ambonę umieszczono płaskorzeźby przedstawiające sceny z życia proroków: Ezechiela, Izajasza, Jeremiasza i Daniela.

Figura Madonny z czyżykiem

Jest datowana na drugą połowę XIV w. Prawdopodobnie wyrzeźbił ją budowniczy katedry św. Wita w Pradze mistrz Piotr Parter. Wykonana z drewna dębowego mierzy nieco ponad półtora metra. Przedstawia



Madonnę trzymającą w prawej dłoni berło, a w lewej Dzieciątko Jezus, na którego kolanie siedzi czyżyk. Obecnie figura Madonny mieści się w kaplicy św. Jakuba.

Kaplica św. Jakuba

Jest jedną z najstarszych części świątyni. Jej budowę zakończono ok. roku 1500. Służyła pierwotnie jako prywatna kaplica komtura zakonu joannitów. Obok figury Madonny z czyżykiem, prawdziwie bezcennym skarbem kaplicy, znajdują się malowidła ściennie datowane na początek XVI w. Przedstawiają Chrystusa, apostołów i świętych. Za najpiękniejsze malowidło uważa się chustę św. Weroniki usytuowaną w centrum kaplicy, pod sklepieniem. Co ciekawe, patron kaplicy, św. Jakub, przedstawiony jest również na zewnątrz kaplicy w postaci małej gotyckiej figurki pielgrzyma wyposażonego w torbę podrózną i kostur.

Zespół konfesjonaliów

Wykonane przez mistrza Klahra Starszego w latach 1717-1720 zaliczane są do najwybitniejszych na Śląsku osiągnięć rzeźbiarskich pierwszej połowy XVIII w. To rząd



11 wysokich na 3,5 metra konfesjonatów o łącznej długości 30 metrów, wyrzeźbionych z niepolichromowanego drewna. Barokowa dekoracja snycerska i figuralna podkreśla wagę sakramentu pojednania, nawiązując tematyką do jego ewangelicznych korzeni. Usytuowane w tyle kościoła wzdłuż ścian naw bocznych stanowią niewątpliwą ozdobę świątyni.

Ołtarze św. Ignacego i św. Franciszka Ksawerego

O aktywnej obecności jezuitów świadczą dwa ołtarze usytuowane na końcu naw bocznych, po obu stronach ołtarza głównego. Pierwszy – św. Ignacego, autorstwa Michała Kosslera, został wykonany w latach 1712-1713. Wyobraża on moment słynnej mistycznej wizji założyciela Towarzystwa Jezusowego św. Ignacego z Loyoli, jakiej doświadczył w miejscowości La Storta pod Rzymem. Ignacy, kłaniając się Chrystusowi, który trzyma krzyż, oddaje się Mu na wyłączną służbę. Nad całą sceną unoszą się postaci Boga Ojca i górującego nad wszystkim Ducha Świętego, wyobrazonego jako gołębicę. Ołtarz zdobią dodatkowo kolum-

ny oraz figury św. Barbary i św. Doroty. Drugi ołtarz, wykonany w roku 1739 przez czeskiego mistrza Pacaka, poświęcony jest św. Franciszkowi Ksaweremu – wielkiemu misjonarzowi i oddanemu przyjacielowi Ignacego. Główną jego ozdobą jest XIX-wieczny obraz Franciszka namalowany przez kłodzkiego malarza Hieronima Richtera. Po dwóch jego stronach znajdują się postaci św. Rocha i św. Karola Boromeusza. Ołtarz wieńczy bogato zdobiony monogram Matki Bożej.

Organy

Zbudowane zostały przez Antoniego Stretta między 1722 a 1726 rokiem. Składają się z symetrycznie ułożonych piszczałek zawieszonych zmyslnie nad balustradą chóru, na ścianach nawy głównej, tak, że nie przysłaniają olbrzymiego okna fasady kościoła. Prospekt organowy zdobi rozbudowany zespół figur aniołów grających na różnych instrumentach muzycznych, co stanowiło charakterystyczny swego czasu dla jezuitów schemat architektoniczny zwany anielską orkiestrą.

WZORY SĄ FINEZYJNE I BARDZO DELIKATNE, INNE WYRAZISTE, ALE WSZYSTKIE NANIESIONE Z ARTYSTYCZNYM KUNSZTEM

Pisanki - więcej niż rękodzieło

o. Stanisław Groń SJ



Scholastyk Mateusz Konopiński – redaktor magazynu „Jezuici – Nasze Wiadomości”, którego jestem kuratorem, poprosił o zaprezentowanie naszym Przyjaciołom i Czytelnikom mojej skromnej kolekcji pisanek. Prosząc mnie, miał poważną, groźną minę i patrzył na mnie z góry. Nie mogłem odmówić, bo chłopak jest wysoki, najwyższy na naszym scholastykacie, i sprawuje poważną funkcję, od której zależy jakość „Naszych Wiadomości”.

Jak wszystko, także i moja kolekcja ma swoją historię. Powstawała przez lata, niejako spontanicznie i bez presji pozyskiwania

nowych nabytków. Muszę jednak przyznać, że z roku na rok coraz bardziej się powiększa, mimo że czasami któraś z pisanek się rozbiła (a każdej było mi żal).

Wiele malowanych wydmuszek otrzymałem od rodziny, od przyjaciół i od moich zakonnych współbraci pracujących na misjach w różnych krajach. Także moja siostra – zakonnica przywiozła mi kilka pięknych, kamiennych jajek z Kaukazu. Niektóre pisanki nabyłem, targując się o ich cenę ze sprzedawcami – jak przystało w Krakowie – na kiermaszach. Czasami jakieś pisanki kupiłem w Cepelii lub na targu, inne zamówiłem na wsi u ludowej pisankarki, jeszcze inne ofiarowała mi zaprzyjaźniona malarzka – pani Ewa Skrzypiec. Jej dary pokażnie wzbogaciły moją kolekcję.

Muszę przyznać, że moja kolekcjonerska pasja pisankarska wraz z upływem lat nie wygasła, ale powiedziałbym, poszerzyła się o fachowe pozycje książkowe z tej dziedziny oraz o wiedzę dotyczącą szerszego kontekstu tej ludowej kultury. Wiem też nie od dzisiaj, że z kolekcją muszę obchodzić się bardzo delikatnie, dosłownie jak z „przyszłowiowym jajkiem”, aby przez nieuwagę, nie pomniejszyć swych zbiorów. Nie próbowałem też nigdy rozwiązać spornego, filozoficznego problemu: co było wcześniej jajko czy kura, i mówiąc szczerze nie zamierzam się nim zajmować! Wiem też, że archeolodzy znaleźli na Ostrówku w okolicy Opola pochodzącą z X wieku, najstarszą słowiańską pisankę, jednak mnie nigdy w ziemi niczego nie udało się znaleźć, mimo iż wykopy wokół mnie były czasami głębokie.



Cztery lata temu w 2003r. nadarzyła się po raz pierwszy okazja zaprezentowania tej kolekcji szerszemu gronu, gdy w jezuickim ogrodzie przy krakowskim kolegium urządzaliśmy doroczną majówkę.

Zwyczaj malowania jaj narodził się podobno w Persji, a dobrze znany był w mezopotamskim Sumerze i Cesarstwie Rzymskim. Również nasi słowiańscy przodkowie nieźle opanowali technikę malowania i zdobienia jaj. Nic dziwnego, nikt wtedy nie słyszał o ptasiej grypie, a kury dobrze się nosły i wosku było pod dostatkiem. Coś z tego talentu malarskiego naszych przodków zostało w nas, a to „coś” ujawnia się, gdy przygotowujemy się do uroczystości Zmartwychwstania Chrystusa z wielkanocnym jajkiem w koszyku i na stole, poświęcone zaś i malowane skorupki z szacunku zakopujemy w ziemię.

Kolorowe jajko zawsze ludzi zachwycało. Niezależnie od czasu, regionu, kultury

i religii. Również dzisiaj malowane jajko urzeka wielu kolorystyką, wzornictwem i najrozmaitszymi technikami zdobienia. Jajko zachwycało też i mnie. Stąd ta kolekcja!

Jest w niej ponad 350 kruchych, barwnych „arcydzieł”. Mam pisanki z Rumunii, Ukrainy, Czech, Słowacji, Litwy, Kanady, Rosji, Indii, USA, Chin, Boliwii, Zambii, Madagaskaru, Egiptu. Ale najwięcej pisanek z mej kolekcji po-

chodzi z różnych regionów Polski; mam pisanki kurpiowskie, opolskie, sądeckie, huculskie, podolskie i z innych jeszcze stron naszej Ojczyzny.

Podziwiać możemy różne techniki zdobienia. Poczynając od klasycznych po nowoczesne, gdzie do głosu dochodzi czysta fantazja twórcy oraz oryginalny materiał użyty do zdobienia. Wszystko to wzięte razem daje zadziwiający pięknem efekt, tj. pomalowane jajka – wydmuszki. Mam w kolekcji wydmuszki pokryte klejem, wysadzone koralikami, które tworzą przepiękny wzór niczym fryz mozaikowy, a ich wykonanie jest bardzo pracochłonne. Niektóre z nich mają finezyjnie ułożone taką techniką napisy Alleluja wraz z datą. Niektóre pomalowane wydmuszki są sygnowane inicjałami ich twórców. Mam pisanki pokryte sztucznymi perełkami, ale także jajko kryte czarną włóczką i pomalowane w specyficzne wzorki lakierem do paznokci, gdzie wspinały ornament w kolorze ceglany do-



skonałe kontrastuje z czernią. Mam pisanki zdobione płótnem i wysadzone cekinami, jak i pokryte wzorami geometrycznymi nałożonymi grubo farbami na jednolitym czerwonym podkładzie, charakteryzujące się ciekawymi deseniami. Oglądających zawsze też zachwycają wydmuszki z secesyjnymi wzorami kwiatowymi i rysunkiem motyli oraz panoramą Nowego Sącza. Równie piękne są drapanki, w tym ta z procesyjnym orszakiem na jednolitym brązowo-złotym tle, uzyskanym po gotowaniu w wywarze z łusek cebuli. Otrzymałem ją od utalentowanego współbrata, który wykonał ją, gdy miał poważne problemy ze wzrokiem. Mam również pisanki wykonane techniką batikową, gdzie na powierzchnię jajka w odpowiednich miejscach naniesiony został roztopiony воск, by tam właśnie się nie zabarwiły i pozostały w swym naturalnym kolorze. Z kolei na innych pisankach kwasem wytrawiono powierzchnię już zabarwioną lub nałożono złoto-brązowy воск. Piękne są też oklejanki z Łowicza, pisanki z wypukłą fakturą oraz drapanki opolskie, na których ostrym

narzędziem wydrapano klasyczny wzór kwiatowy lub godło Polski. Wszystkich oczarowuje też kolekcja z ptakami polskimi oraz okazałe jezuickie kolegium w Starej Wsi ze strzelistymi wieżami i rozświetlonymi oknami, które do złudzenia przypomina prawdziwe. Godnie prezentują się rozłożyste dziewięciły oraz górską szarotka, baranek i kolorowy, wspaniale upierzony gil. Piękne jest również gorejące Serce Zbawiciela otoczone cierniem. Zachwyca łąka cała w żółtych kwiatach. Uwagę przyciąga też godło jezuitów z promienistym IHS. Na jednej z pisanek drzemie wiosenny pierwiosnek z pochylonymi ku dołowi kielichami kwiatów, na innej widzimy złociste kłosa zboża albo pływające łabędzie. Na wielu wydmuszkach widnieją różne wzory kwiatowe, ale także: szlaczki, linie, specyficzne łyzy, jodełki, krzyżyki, gwiazdki, kropki, zygzaki. Niektóre wzory są drobne i bardzo delikatne, inne grube, wszystkie naniesione z artystycznym kunsztem.

W zbiorach posiadam jajka kurcze, kacze, indyckie, gęsie, przepiórcze, lilipucie, a na-

wet mam kilka jaj strusich i takie, o których nie wiem, kto je zniósł. Wtedy żartuję i mówię, że są od krokodyla. Jedno z jaj strusich zdobi Madonna Starowiejska, inne wspinała cerkiew. Mam także drewniane atrapy jajek, ręcznie malowane w Rosji na złożonym podkładzie. Pięknie prezentuje się twarz Chrystusa, wizerunek Pantokratora i Matki Bożej, do której policzka tuli się Dziecię Jezus. Posiadam jajka wytoczone w dębowym drewnie i misternie pomalowane, ale także indyjskie intarsjowane różnymi gatunkami drewna i mosiądzem oraz jednego z białego marmuru inkrustowaną zielonym marmurem. Miłe sercu są także jajka zrobione z gliny i wypalone, a pomalowane przez dzieci niepełnosprawne. W kolekcji znajdują się także jajka z minerałów i wykładane masą perłową. Są też takie, które przedstawiają świętych: Ignacego Loyolę, Andrzeja Bobolę, Mikołaja czy bł. Jana Beyzyma. Posiadam także jajko ekumeniczne z symbolami wielkich religii oraz jajko wycinane światłem laserowym z pustymi prześwitującymi serduszkami. Mam też jedno ryte dłutem dentystycznym i pięknie pomalowane, a przedstawiające Kaplicę Zygmuntowską na Wawelu. Kamienne jajko z Boliwii posiada w swej

strukturze dwa przesłania teologiczne i może zdobić dwa chrześcijańskie święta. We wnętrzu bowiem wyrzeźbiono szopkę - ta dekoracja nadaje się na Boże Narodzenie, - a gdy się je obróci - zdobić może Wielkanoc. Jajka petersburskiego jubilera Fabergé nie mam i mieć z pewnością nie będę, ale i to porcelanowe, ofiarowane mi z kolekcji Rosenthala prezentuje się wspaniale.

Mam nadzieję, że moja kolekcja należy do rozwojowych i będzie się powiększać. A chociaż daleko jej do liczebności i artystyzmu kolekcji prezentowanej w jednym w Polsce Muzeum Pisanki w Ciechanowcu oraz kolekcji pisanek pani prof. Ireny Stasiewicz-Jasiukowej, to jednak moja też warta jest prezentacji w tym artykule.

Drodzy Czytelnicy! Radzę samemu namalować coś na jajku, nawet jeśli nie będzie to arcydzieło. Dobrze się przy takiej pracy odpoczywa i z pewnością efekt ucieszy innych, a może i nas samych. Na pewno warto pisanek kolekcjonować, do czego zachęcam Was gorąco, a gdyby się zdarzyło tak, że jakieś zbędne pisaneki zawadzają wam w mieszkaniu, to zawsze możecie mi je przysłać, a miejsce w mojej kolekcji znajdzie się dla nich na pewno.











Nasze Wiadomości JEZUICI

Drodzy czytelnicy,

Kolejny już raz prosimy Was o udostępnianie naszego czasopisma waszym krewnym, przyjaciołom, znajomym... Prosimy również o przesłanie adresów osób zainteresowanych otrzymamy "Jezuici - Nasze Wiadomości". Nasze czasopismo jest rozsyłane nieodpłatnie. Jeżeli Państwo zechcecie wesprzeć kształcenie naszych kleryków oraz naszą działalność apostołską, możecie przysłać ofiary na podane niżej konto. Za wszystkie ofiary składamy serdeczne "Bóg zapłać".

Prowincja Polski Południowej TJ
Krąg Przyjaciół Jezuitów
Bank PKO SA III/O Kraków
swift: PKO PPLPW
PL 61124022941111000037088947

Redakcja

Jezuici Nasze Wiadomości

31-501 Kraków, ul. Kopernika 26

e-mail: naszewiadomosci@jezuici.pl

o. Paweł Brożniak SJ

opiekun *Kręgu Przyjaciół Jezuitów*

Księża Jezuiti,

30-961 Kraków 1, skr. p. 128,

tel. 607 227 227

e-mail: P.Brozniak@jezuici.pl

Jezuici – Nasze Wiadomości (Jesuits – Our News) is a periodic edited by Polish young Jesuits studying philosophy in Cracow. We are trying to show you our way of perceiving, understanding and acting in contemporary world. We address Jezuici – Nasze Wiadomości to our friends and everyone who desires to learn something about us and whole Society of Jesus. Each issue contains variety of articles undertaking different themes. Every author is engage in things that he described. We provide you not only pure information but words full of human experiences, emotions, adventures – our life. Each number is devoted to specified matter. This time we write mainly about two things: 35. General Congregation that chosen new Father General, Adolfo Nicolás and Jesuits' hobbies.

First two texts refer to 35. General Congregation. Sch. Zbigniew Jałbrzykowski described an idea of General Congregations. Then sch. Przemysław Gębala collected delegates' relations about 35. General Congregation's progress. At least you can find two profiles: previous Father General Peter Kolvenbach and present Adolfo Nicolás. According to hobbies father Robert Janusz wrote about scientific languages using in observing cosmos. Then you can read interview with sch. Marek Rosłoń about creative photography. After that father Piotr Lenartowicz presented you his desire to fight with atheism among nature scientists. Next proposition is text written by sch. Leszek Wilczak about bikes. He shared with you his need for speed.

Big picture illustrates st. Stanislaus the Bishop's procession taking place each year in Cracow. Article written by father Jarosław Naliwajko is a play with some idea that he tried to capture but it all the time was slipping away. Sch. Marek Rosłoń related his strife with philosophical language. In event's column you find sch. Jarosław Charchuła's comment on European Jesuits in Formation meeting. There is also something about restoration of organ in our Jesus Sacred Heart basilica written by sch. Kamil Hewelt. Next section contains of sch. Paweł Rakowski's text about Taize group, sch. Jakub Szelka's about apostolate of children, sch. Jakub Biela's about work in st. Brother Albert's shelter for homeless women with children and sch. Wojciech Werner's about volunteering. Then few words proposed by sch. Paweł Beń about Spiritual Exercises' way to God. Afterward sch. Krzysztof Augustyniak storied about regency in Denmark. Father Krystian Sowa wrote about educational project for engineers and sch. Jacek Olczyk about "Magis" - formation program for youths. Subsequently we reminded you cardinal Adam Kozłowiecki's profile. And at the end something referring to art: sch. Bartłomiej Przepeluk article about jesuit baroque Church in Kłodzko (south-west part of Poland) and father Stanisław Groń text about his collection of decorated eggs. Such eggs are popular in Poland and are integral part of Easter celebration.

PASJA

ŻYCIA

BOGIEJ



JEZUICI

www.jezuici.pl/powolania